Rok II. Nr. 3. Kraków, 1. lutego 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

Z szaleństw karnawału.



(do tekstu na str. 2-ej).

Modlitwa.

BOGURODZICO—DZIEWICO,
na Jasnej Górze Panienko,
życzliwe ku nam zwróć lico
i bądź, jak ongi, wyręką,
błogosławiącą znów bojom
na chwałę Polski i Twoją...
BOGURODZICO—DZIEWICO,
z nad Ostrej Bramy ozdobo,
opieki bądź nam przyłbicą
i racz prowadzić za Sobą,
w trudach bitewnych i znoju
na sławę Polski i Twoją...
BOGURODZICO—DZIEWICO,
KORONY POLSKIEJ KRÓLOWO,
zapału bądź nam krynicą
i jutrznią zwycięstw różową,
i uświęć rany i boje
za imię Polski i Twoje...

Remigiusz Kwiatkowski.

Najpracowitsi ludzie w Polsce.

Zewsząd słychać skargi na zmniejszanie się produkcyi z powodu obniżenia się wydajności pracy, a wielki amerykański dyktator żywnościowy Hoover wręcz zapowiada, że Ameryka nie pośpieszy Europie z pomocą, jeżeli ta nie weźmie się uczciwie do pracy. Także i w Polsce nie brak utyskiwań na ogólne rozleniwienie się, nie zawsze usprawiedliwione okolicznościami i stosunkami. Wielcy nasi uczeni świecili zawsze przykładem niezmordowanej energii i pracy iście mrówczej. Oto kilka przykładów:

W życiorysach Tadeusza Korzona jednomyślnie podkreślono pracowitość niezmordowaną tego historyka. Większość historyków polskich odznaczała się tymi przymiotami, jak pracowitość, wytrwałość, umiejętność wyzyskiwania czasu. Uprzytomnijmy sobie jak pracowitym z historyków dawniejszych był Lelewel. Bardzo pracowitym w zakresie studyów historycznych był Józef Szujski, dopóki go nie przyciągnęła ku sobie polityka.

Oryginalny tryb życia prowadził zmarły przed kilkunastu laty zasłużony historyk polski, dr. Franciszek Piekosiński w Krakowie. Osobiście niezamożny, w ciągu dnia pracował jako dyrektor filii Banku hypotecznego. Wróciwszy z biura, kładł się na kilka godzin do łóżka, poczem pod wieczór wstawał, i gdy całe miasto się ułożyło do snu, pracował niezmordowanie nad swemi studyami historycznemi. Dokonał wiele, wywalczył sobie nawet katedrę uniwersytecką, lecz te dogodniejsze warunki bytu materyalnego przyszły już zapóźno, bo Piekosiński poprostu skrócił sobie życie tą pracą nocną, z roku na rok uprawianą bez przerwy.

A jak pracowitym jest dr. Aleksander Brueckner w Berlinie, który wyniki swoich studyów ogłasza przeważnie w dwóch językach: po polsku i po niemiecku. Jedyną rozrywką, na którą sobie raz na tydzień — literalnie raz na tydzień — pozwala, jest pogawędka ze znajomymi przez dwie godziny w jednej z kawiarń śródmieścia.

Bardzo pracowitym był Piotr Chmielowski, który dawał codziennie po cztery i pięć godzin lekcyi, a prócz tego własnoręcznie bez żadnej pomocy, bez sekretarza lub stenografki pisał te monografie i studya literackie, które były syntezą długoletnich badań i zestawień. Ale najpracowitszym — jak na swój wiek, swój stan i swoje stanowisko klasowe — był ksiądz biskup Krasicki. Pisał on co dnia, kilka razy na dzień, i nigdy nie przepuścił ani jednej chwili ku temu sposobnej, by pióro gęsie umaczawszy w inkauście, nie rzucić na papier, choćby kilkudziesięciu wierszy.

Złotem brukowana droga.

Kiedy Napoleon zimą 1812 r. uciekał z Rosyi, panował w jego wojsku, zwłaszcza na drodze między Wilnem a Kownem, popłoch nie do opisania. Droga do Kowna była pokryta tysiącami zmarzłych żołnierzy, przybory różne wojskowe zagradzały pochód, a zwłaszcza trudno się było przedostać przez wąwóz, położony półtorej godziny przed Wilnem. Tam to zawieczono jeszcze z wielką biedą ciężkie wozy, przechowujące skarb wojenny, przed Wilnem atoli wydał marszałek Ney rozkaz, aby jeden z tych wozów i znajdujące się w nim baryłki ze złotem i pieniędzmi otworzyć i oddać na pastwę żołnierzom. Na widok świecących się baryłek napoleondorów wstąpiło nowe życie w zmordowanych ludzi. Rzuciwszy się na błyszczący metal, ponapychali nim kieszenie i tornistry, ale tylko niewielu zdołało przy sobie długo zatrzymać skarby, albowiem ciężar złota przeszkadzał im w ucieczce. A ścigający kozacy znowu niejednym skarb odebrali. Przez to powstała włoka, którą dowódcy francuscy zręcznym podstępem przedłużyli. Kasa wojenna obejmowała przeszło 10 milionów franków. Otworzono dalsze baryłki i pobudowano w prawdziwem tego słowa znaczeniu nieprzyjacielowi „złote mosty". Droga wybrukowana dosłownie złotkami, tak, iż kozacy, zesiadłszy z koni, zaczęli zbierać złote monety, przez co Francuzi zyskali na czasie. Z tego skarbu wojennego zawieziono tylko około 7 milionów szczęśliwie do Królewca, reszta milionów przepadła.

Z szaleństw karnawału.

Objaśnienie do ilustracyi na str. 1-ej.

Karnawał szaleje obecnie na całym świecie. Ludzie otrząsnąwszy się z przygnębienia — ochoczo puszczają się w tany. Tegoroczny karnawał w Anglii jest bardzo ożywiony. Wodzireje wysilają się na obmyślanie jak najoryginalniejszych figur tanecznych. Ilustracya nas a przedstawia figurę kotylionową, w czasie której panie i panowie grają w piłkę nożną na sali balowej.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

9 (Dalszy ciąg).

W oznaczonym dniu znalazła się w salonie wróżki. Kamienne posągi, trójnog, mapy gwiaździstego nieba, ciemne obicia, a nadewszystko tajemnicza kula kryształowa wywarły na Harriet silne wrażenie i podziałały na jej wyobraźnię. Ze wzruszeniem dowiedziała się z ust pani Dalmenay, że ona Harriet Goodnow „w najbliższym czasie uda się w podróż dla osiągnięcia szlachetnego celu, w służbie piękności i niewinności“. Pozatem kryształowa kula za pośrednictwem wróżki oznajmiła, że Harriet spotka wkrótce na drodze swego życia przystojnego wysmukłego bruneta, który poprowadzi ją ku karyerze, o jakiej ani marzyła. Jeśli usłucha jego rady, to zamieszka we wspaniałym domu., gdzie będzie miała służbę, piękne toalety, własny samochód i jak najwykwintniejsze utrzymanie.

Dziewczynie aż zakręciło się w głowie. Wróżka otwierała przed nią wymarzone krainy szczęścia. Drżącym głosem zapytała Harriet:

— Czy... czy ten... przystojny brunet... zamierza się ze mną ożenić?!...

Pani Dalmenay była wytrawną i panującą nad sobą wróżbiarką, aby się roześmiać, choć wielką po temu miała ochotę. To też z całą powagą oświadczyła:

— Kryształowa kula objawia mi, że mężczyzna ten ma bardzo, bardzo dobre względem pani zamiary... Tak... tak.. widzę, że później przyjdzie czas na małżeństwo... i pieniądze otrzyma pani... Więcej powiedzieć nie mogę, ale sądzę, że to chyba wystarczy, aby się panienka uznała za dziecko szczęścia..

Jakże szybko miała się sprawdzić przepowiednia kryształowej kuli.

Kiedy Harriet o zmierzchu powracała do domu, zaczepił ją w sposób bardzo grzeczny i wykwintny wysoki mężczyzna w mundurze podoficera policyi. Złożywszy elegancki ukłon, Traddleton — bo on to był — zapytał:

— Czy mam przyjemność mówić z panną Harriet Goodnow?

— Tak jest, — odparła dziewczyna, kraśniejąc jak mak polny.

Wysmukły, przystojny brunet!...

Pomnac o radach pani Dalmenay, Harriet nie protestowała, kiedy brunet zaproponował, aby udała się z nim na skromną przekąskę do poblizkiej herbaciarni, albowiem ma jej coś ważnego do zakomunikowania.

W zacisznym pokoiku przy filiżance wonnej herbaty i smakowitych ciastkach, Traddleton, który przedstawił się jako urzędnik „patroli ochronnej“, w kunsztownych i kwiecistych zwrotach wyjaśnił pokojówce panny Irving — o co rzecz idzie.

„Towarzystwo patroli ochronnych“ przewidując nowe zamachy na osobę panny Alicyi Irving, zmuszone jest otoczyć cały dom jak najściślejszą opieką policyjną, a to byłoby bezwątpienia dla istoty tak wrażliwej i nerwowej, jak miss Harriet Goodnow, niezmiernie przykre. Aby ją uchronić od niemiłych wrażeń, „Towarzystwo patroli ochronnych“ postanowiło wyznaczyć na to miejsce osobę starszą, więcej zahartowaną, a natomiast miss Harriet zamieszka w poblizkiem wielkiem mieście, w eleganckim hotelu i tam na koszt Towarzystwa prowadzić będzie wygodne życie bogatej damy. Przytem całe jej zajęcie stanowić będzie obserwowanie pewnej kobiety— dla dobra i w interesie panny Irving — i prezsyłanie co tygodnia pisemnych o niej sprawozdań. Musi też przyjąć na siebie obowiązek polecenia swej młodej pani nowej pokojówki.

— Będzie to — zapewniał Traddloton — osoba godna zaufania, z doskonałemi świadectwami, niezwykle zręczna i wierna. A pani, panno Harriet z przyjemnością chyba zgodzi się na tę propozycyę... W ostatnich czasach obowiązki służbowe pani musiały być dość uciążliwe... Panna Irving po swym powrocie zdradza podobno wielkie zdenerwowanie...

— Ach! to prawda!... — westchnęła Harriet — niech pan sobie wyobrazi, że nawet pamięć jej ucierpiała w czasie tej strasznej awantury... I wogóle pod niektórymi względami zupełnie zmieniła się!...

— Czy podobna?

— Ależ tak jest, zaręczam. Proszę tylko pomyśleć, że na drugi dzień po przybyciu wyrzuciła z pokoju swe ulubione, różane mydło, twierdząc, że tego zapachu znosić nie może, a zażądała mydła fiołkowego, którego dawniej nigdy nie używała!...

— — — — — — — — — —

Kiedy Harriet poprosiła Alicyę o kilka tygodni urlopu, tłumacząc, że „zamożna kuzynka“ zaprasza ją do siebie — młoda panna udzieliła chętnie zezwolenia. Zgodziła się także na przyjęcie zastępczyni, która służyła w najlepszych domach!!

Następnego już dnia pojawiła się w domu mała, zgrabna pokojóweczka, a razem z nią nowy służący, mężczyzna, średniego wzrostu muskularny, o bardzo inteligentnej fizyognomii. Nazwisko nowego służącego brzmiało: Jimmy Favi.

X.

Na damskiem siodle.

Alicya Irving wyjechała konno na spacer do parku. Jimmy Favi towarzyszył jej.

Był to pogodny, rozkoszny poranek. Pomimo wczesnej godziny, droga przeznaczona dla jazdy konnej przedstawiała obraz bardzo ożywiony i ruchliwy. Szczególnie dużo amazonek używało ulubionego sportu. Niektóre z nich witały Alicyę przyjaznemi pozdrowieniami, przyczem prawie wszystkie spoglądały na nią z najoczywistszem zdziwieniem. Zauważył to odrazu Jimmy i fakt ten pobudził jego ciekawość, która wkrótce miała być niezaspokojoną. Kilka rozswywolonych pensyonarek, harcujących na swoich „ponys“ minęło Alicyę. Jedna z dziewcząt zawołała głośno:

— Wielki Boże! Jeszczem jej nigdy nie widziała na koniu w spódnicy i na damskiem siodle!... Co się jej stało?

— Aha! o to chodzi, — mruknął do siebie Jimmy Favi. W tej chwili podjechał ku Alicyi jakiś młodzieniec i rozpoczął z nią rozmowę.

— O! — zauważył w duchu Jimmy — ależ to Harry Loundes!... No, jakoś ona nie zdaje się cieszyć zbytnio z tego towarzysza, chociaż rozmawiają żywo!... doprawdy bardzo żywo!... I on ma jakąś dziwną minę, bynajmniej nie taką jak przystało mieć kawalerowi w towarzystwie pięknej panny... A! znowu znajomy... Tak, tak, to Percy Briddger.

W tej chwili właśnie panna Irving spojrzała na Harry'ego niecierpliwym lodowato zimnym wzrokiem i tak gwałtowny wykonała ruch ręką, że jej szpicruta — być może nieumyślnie — uderzyła wierzchowca sąsiada!... Koń spłoszył się i uskoczył w bok. Jeździec o mało co nie spadł, chociaż mocno trzymał się w siodle. Właśnie wtedy z bocznej alei wynurzył się Bridger. Alicya skierowała swego konia w jego stronę, zawoławszy obojętnie:

— Dowidzenia, panie Loundes!

— Pani coś niełaskawie pożegnała Loundes'a — zauważył z uśmiechem Bridger, przywitawszy się z panną Irving.

— Ach! bo też jest taki nietaktowny człowiek!...

— Doprawdy?

— Ależ tak! Zadaje mi ni stąd ni zowąd pytanie, czy to w mojem tajemniczem więzieniu przekonałam się do damskiego siodła!...

— Zwykle Harry Loundes bywa w towarzystwie bardzo gładki...

— Być może, że ja na tym punkcie jestem trochę zanadto wrażliwa... Wie pan, wprawdzie męskie siodło jest praktyczne i wygodne, ale... dla kobiety trochę wyzywające, a ja chciałabym teraz o ile możności najmniej zwracać na siebie uwagi, więc postanowiłam zmienić mój dawny system jazdy konnej...

Wszystko to wypowiedziała bardzo szybko, nie patrząc młodemu adwokatowi w oczy. Po chwili podniosła na

niego nieśmiałe spojrzenie i lekko zapłoniwszy się wyrzekła cicho:

— Może właśnie źle wybrałam moment.

— Niechże pani głupim ludziom pozwoli gadać, miss Irving — rzucił łagodząco Percy, — ale czy pani nie pogniewałaby się na mnie, gdybym i ja powrócił do tematu tej nieszczęsnej historyi.

— O! na pana z pewnością nie!... Jeśli pan chce coś powiedzieć w tej kwestyi — to zapewne tak uczynić należy.

Percy Bridger zaczał opowiadać historyę, którą sobie poprzednio ułożył. Oświadczył w jaki najoględniejszy sposób, że i za nim i za Reginaldem snują się jakieś podejrzane indywidua: Postanowi tedy po wspólnej naradzie śledzić tych ludzi, aby jak po nitce do kłębka — dotrzeć do gniazda sprawców uprowadzenia.

— I jakże to panowie zamierzacie urządzić? tak bez żadnego punktu zaczepienia?

— Jeżeliby którego z tych drabów udało się schwytać na gorącym uczynku, albo też wykryć jego schronienie, to byłby odrazu punkt zaczepienia. I gdyby pani nie miała nic przeciwko temu... a może zechciała nam trochę dopomódz...

Alicya milczała ze spuszczonemi oczyma. Nagle podniosła głowę i spojrzała na Bridgera, z jej pięknych źrenic trysnął taki płomień gorący, taki ogrom pogardy, że Percy zdumiał się...

— Panie Bridger — zaczęła — są działam... spodziewałam się, że danem mi będzie w spokoju zapomnieć o tej strasznej mojej przygodzie... Nie przypuszczałam, aby ci ludzie dalej chcieli mnie i was prześladować. Skoro tak jednak jest — to czyńcie, co uważacie za stosowne!... Jeżeli odnajdziecie moich prześladowców, to ukarzcie ich, tak, jak na to zasługują!...

— Ale... ale czy pani zechciałaby?...

— Ach! tak, rozumiem o co chodzi!... Chcecie, bym wam ewentualnie dopomogła do rozpoznania... Ale ja właściwie nic zrobić nie mogę... nikogo, prócz owej murzynki nie widziałam... Musicie sobie radzić bezemnie... Niech pan powie Reginaldowi, że nie sprzeciwiam się bynajmniej poszukiwaniom, że aprobuję z góry całą waszą działalność... Tylko o jedno chcę prosić. Gdyby wasze przedsięwzięcie miało być uwieńczone pomyślnym skutkiem... gdybyście wiedzieli już napewno, że ci ludzie zostaną schwytani, to uprzedzicie mnie na kilka godzin wcześniej, o... o... czekającej mnie konfrontacyi.

Utkwiły w jego twarzy złotawobronzowe oczy, które w tej chwili miały wyraz niemal błagalny.

Bridger nie odrazu odpowiedział. Wreszcie rzekł zwolna:

— Przyrzekam to pani w mojem i Reginalda imieniu...

— Ja pana o to prosiłam!...

— Więc daję pani moje słowo honoru — odparł i dłonie ich złączyły się w mocnym uścisku.

Jechali dalej w milczeniu, aż wkońcu ona znowu podjęła wątek rozmowy:

— Cała obecna sytuacya jest dla mnie nieskończenie przykra i uciążliwa... Przychodziło mi już na myśl, że najlepiej byłoby, gdyby jedno z nas, ja lub Regie... wyjechało na pewien czas... Oboje czujemy się zakłopotani. Widzę to u niego i odczuwam u siebie. Reginald jest dobry, zacny, rycerski, honorowy, ale pomiędzy nas... wkradł się teraz... ton fałszywy... Otóż... może by mu pan był tak dobry oświadczyć..., że niepotrzebnie zadaje sobie przymus... jeżeli mu to jest nieprzyjemne, to nie musimy codziennie widywać się... a przytem wszystkie szczegóły, odnoszące się do postępów waszej akcyi wolałabym, aby dochodziły do mnie raczej za pańskiem pośrednictwem. Czyli krótko mówiąc, proszę pana, aby pan zechciał także i moim być przyjacielem... O! nie odpowiadaj mi pan w tej chwili... Zostawiam panu czas do namysłu... no i z Reginaldem musi pan wprzód pomówić... A teraz, czas już wracać do domu... Dowidzenia!

(C. d n)

Katastrofa morska.

Setki rozbitków na pełnem morzu.

Depesze donosiły już o rozbiciu się wielkiego parostatku „l'Afrique“. Ostatnie pisma paryskie podają następujące szczegóły tej katastrofy.

Zaledwie „Afrique“ opuściła „la Gironde“, gdy zmuszona została rozpocząć walkę z niezmiernie wzburzonem morze i szalejącą wichurą. Jak się to zwykle praktykuje w takich wypadkach, kapitan Le Du postanowił przedewszystkiem oddalić się od wybrzeża, aby uniknąć niebezpieczeństwa rozbicia się o skały.

Po całonocnej walce, gdy „l'Afrique“ znajdowała się w odległości 100 mil od brzegu, o godz. 3 nad ranem spostrzeżono, że statek jest uszkodzony i przez otwór w pobliżu maszyn i palarni wpływać zaczyna ogromna ilość wody.

Po krótkiej, rozpaczliwej walce, nie zważając na intensywną działalność pomp — woda zalała maszyny.

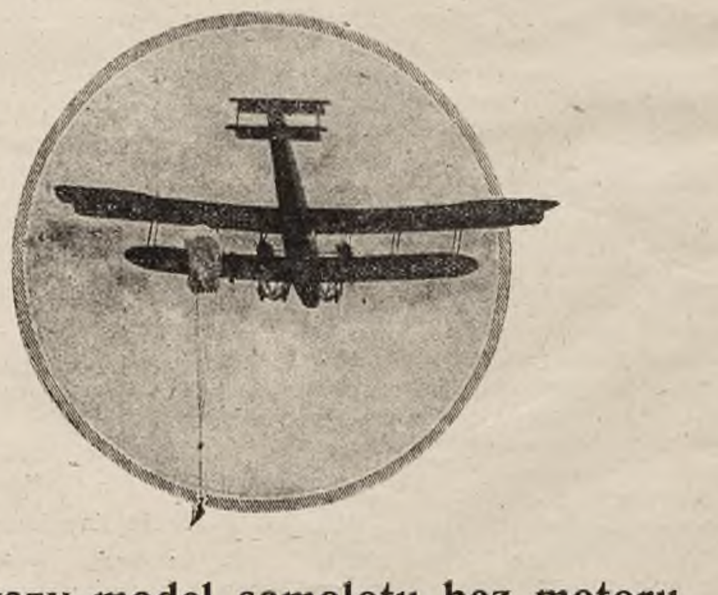
Wobec grozy niebezpieczeństwa stacya telegrafu bez drutu z „l'Afrique“ wysyłać zaczęła sygnały o pomoc.

Okręt „Ceylan“ natychmiast pośpieszył z pomocą, lecz olbrzymie bałwany nie pozwoliły mu zbliżyć się do ginącego statku. „Ceylan“ więc zaczął krążyć około „Afrique“, która z jedną tylko aszyną próbowała skierować się ku wybrzeżom.

Tak trwało przez cały dzień. W ciągu nocy burza się jeszcze zwiększyła i o godz. 3 nad ranem „Ceylan“ otrzymał ostatnią wiadomość z „Afrique“ o tem, że pasażerowie zajmują miejsca w łodziach ratunkowych i że akcya ta jest niezmiernie utrudnioną wskutek bałwanów bez przerwy zalewających pokład.

Z nastaniem świtu „Ceylan“ zbliżył się do miejsca katastrofy, lecz „Afrique“ już zniknęła pod wodą. Po dwóch godzinach spostrzeżono pierwszą łódź z rozbitkami, w której znajdowało się 11 pasażerów, w parę chwil później — tratwę z 15 rozbitkami.

Na miejsce katastrofy przybył szereg innych okrętów ratunkowych.



Najnowszy model samolotu bez motoru.

Jak podróżowano w dawnej Polsce?

Garść wspomnień na czasie.

Ostatnie dwutygodniowe wstrzymanie ruchu kolejowego w całej Polsce stało się prawdziwą klęską dla tysięcy publiczności podróżującej, która nie może sobie prawie wyobrazić swej egzystencyi bez takiego środka lokomocyi jakim jest kolej żelazna. A jednak był czas, kiedy kolei nie znano i mimo to ludziska przenosili się z miejsca na miejsce, nikomu jak dziś... nie wymyślając. Inne czasy — inni ludzie!

Nawiązując do zastanowienia ruchu kolejowego w Polsce — przypominamy dziś czytelnikom kilka szczegółów z dzieła Łętowskiego o podróżach w XVIII. wieku.

* * *

Podróżowano zawsze bardzo uroczyście z liczną kalwakatą. Na czele ordynku szły wozy z zapasami żywności i trunkami pod kierunkiem kucharza, który też zawczasu gotował obiad lub wieczerzę, aby państwo, gdy przyjadą, wnet mogli zasiąść do stołu. Wiktuały musiały być przygotowane na całą, nieraz parotygodniową podróż.

Moc przytem wożono ze sobą przyodziewku zapasowego, pościeli itp. Piernatów musiało być tyle, ile osób z państwa jechało. Na jednej poduszce nikt nie poprzestawał: wożono po dwie i więcej dla każdego.

Kalwakata taka składała się nieraz z kilkudziesięciu powozów i wozów, mnóstwa koni i ludzi. Im kto liczniej wyruszał w drogę, tem było okazalej. „To się nazywało jechać dworno“...

Z biegiem czasu, zwłaszcza za Augusta III Sasa, namnożyło się przytem zbytków, jakich przedtem — przydać trzeba — nie widziano.

Jejmość pani jeździła przedtem kolaską gdańską, która około 120 tynfów kosztowała. Czasem karetą, której koszt nie przenosił jednak 300 tynfów. Koni używano za Augusta II. tłustych, ale swojego chowu, krajowej rasy. Garderobę składały dwa po prababce robrony, ze dwa saki, tyleż kontusików. Wystarczało tego na całe życie i jeszcze córce w spuściźnie się dostawało.

Jegomość, będąc kawalerem, a wieszając się dworu magnata, z jego pomocą miał garderobę piękną i obfitą. Nie potrzebował też sprawiać nowej, tylko ją „ścieśniał i rozpuszczał, w miarę przybywającej lub uchodzącej cyrkumferencji“; potem na dorosłych synów ją przerabiał. Gdy wyruszano w drogę, zabierano zawsze całą garderobę, nawet najliczniejszą.

* * *

Wielcy panowie, rzecz prosta, podróże swe odbywali wspaniale. Stanisław książę Lubomirski, wojewoda kijowski, gdy jechał karetą do kościoła katedralnego zagajać sejmik, był otoczony dokoła: nieraz do setki dworzan mu towarzyszyło, a ilu pacholików! Ile powozów! Dworzanie konno, a jak byli poubierani! Jakie rzędy na koniach! Wystawność ta w sposobach podróżowania, jak zapewnia Ochocki, trwała od r. 1788—90. Z bardzo licznymi orszakami widywał Ochocki panów jeżdżących w Warszawie w dni uroczyste na zamek królewski w roku 1786. Taki np. Stępkowski, wojewoda kijowski, pan na Łabuniu i inni, gdy wyruszał w drogę, zabierał ze sobą kuchnię, piwnicę, wszelkie wygody; sześćdziesiąt kilka koni wiozło pana wojewodę, dwór i zapasy, robiąc po 5 mil dziennie; poprzedzało kalwakatę dwóch pokojowych, którzy zawczasu przysposabiali mieszkania i furaż.

* * *

Za Sobieskiego i później, za Augusta II., szlachta polska odbywała podróże, nawet i dalsze, konno lub wózkiem, często dwukołowym, zwanym biedą. Gdy podczas deszczu pani zawinęła spódnicę na głowę, nikogo to nie dziwiło; później jednak zaczęto szydzić, mówiąc, że „jedzie półkrytkiem“.

Od początku panowania drugiego Sasa zaczyna się zbytek i w powozach: ponieważ w kraju karet wyrabiać nie umiano, zaczęto sprowadzać je z Gdańska, płacąc drogie pieniądze. Karety niebawem tak się u nas zagęściły, że każdy szlachcic o jednej wiosce miał ją, jeśli nie dla siebie, to dla żony i córek. Zresztą niebawem i w kraju zaczęły powstawać fabryki zbytkownych powozów, ku czemu się przyczynili sami dziedzice. Tak, Stanisław Poniatowski, stryj króla, wojewoda mazowiecki, sprowadził do swych dóbr Zaleszczyckich, na Ukrainie, nietylko całe zastęp tkaczów, lecz także stelmachów i siodlarzy. To samo uczynił Jan Małachowski, kanclerz wielki koronny, zakładając w Końskich, w woj. Sandomierskiem, fabryki powozów.

Lubo zaczęto yrabiać karety i inne zbytkowne powozy w Polsce, wszelako

---

Dzikie bestye.

Miał marzące, jakby w dal spoglądające niebieskie oczy i smutny, cichy głos, w którym zdawała się dźwięczeć głęboka melancholia. Nikt, patrząc na niego, nie przypuściłby, że ma przed sobą pogromcę drapieżnych lampartów.

A jednak tak było. Spokojnie wchodził do klatki z lampartami i swoją zimną krwią budził dreszcz grozy w widzach. Za to płacił mu dyrektor cyrku, a wynagrodzenie było zależnem od stopnia grozy, którą wywoływał na widowni.

Nie wyglądał na pogromcę dzikich zwierząt, — zupełnie na to nie wyglądał. Nic w tym człowieku nie znamionowało fizycznej siły i tężyzny. Był szczupły, anemiczny, miał wązkie ramiona, zapadłą pierś i zdawał się być wiecznie smutnym, jakimś cichym, zrezygnowanym smutkiem. Starałem się przeszło godzinę wyciągnąć go na jakieś opowiadanie, ale robił wrażenie, jakby nie miał żadnych wspomnień. W swem niebezpiecznem zajęciu nie upatrywał nic romantycznego, nie przypisywał sobie żadnego bohaterstwa ani żadnej odwagi. Występy w klatkach dzikich zwierząt uważał za monotonne i nudne. Lwy? O tak! Walczył z nimi. Ależ to głupstwo! Trzeba tylko zachować równowagę umysłu. Każdy może lwo przywołać do „porządku“ jeśli tylko w odpowiednie miejsce na nosie kijem go uderzy. Raz walczył z ogromnym lwem pół godziny. To drobnostka.

Z tym obojętnym wyrazem swych marzycielskich oczu pokazywał mi blizny. Było ich dosyć, a jedna, pamiątka z rany zadanej pazurem tygrysa, była jeszcze świeża. Nie robił sobie z tego nic, zauważy tylko z najobojętniejsza miną w świecie, że stare rany dokuczają mu nieco przed słotą.

Nagle twarz jego się ożywiła, oczy mu rozbłysły jakiemś wspomnieniem i pospiesznie zaczął mi opowiadać następujący przypadek:

W naszej trupie był raz jeden Francuz — zaczął, — mały, słabowity, ale nadzwyczaj porywczy i gwałtowny. Był żonglerem i zjadaczem nożów. Miał ładną żonę, która popisywała się na trapezie, a kulminacyjnym punktem jej występów było niezwykłe salto mortale, które na zakończenie wykonywała.

De Ville, bo tak się nazywał Francuz, miał temperament równie gorący jak szybką rękę, a szybkość jego ręki dorównywała chyżości łapy tygrysa. Pewnego razu przycisnął dyrektora, który go poprzednio nazwał pogardliwie zjadaczem żab, do drewnianej ścianki, służącej za cel przy żonglowaniu nożami i tam wobec wszystkich widzów z szybkością błyskawicy, otoczył go w jednej chwili kręgiem nożów tak blizko, że niektóre przecięły ubranie dyrektora, a nawet pokaleczyły mu skórę, klowni musieli wyciągnąć noże, by uwolnić dyrektora, ponieważ literalnie był przygwożdżony.

Lecz później do naszej trupy przyłączył się człowiek, który się nie bał nikogo. Nazywał się Wallace i był po-

kładziono na nich zawsze firmy zagraniczne.

Karety wielkich panów i królewskie od parady były ozdobione nazewnątrz różną rzeźbą, malowaniem chińskiem, koronami, suto w ogniu wyzłacanemi, w środku zaś wybijane aksamitem i galonami złotemi; okna robiono zwierciadlane. Karety powszedniejsze były wybijane suknem ponsowem lub karmazynowem, tudzież żółtym lub białym galonem, zewnątrz skórą juchtową. Pudła były tak wysokie, aby w karecie można było stać.

Resorów jeszcze nie znano: pudło karety wisiało na grubych pasach rzemiennych, umocowanych między dwoma drągami, oś tylnią i przednią wiążącemi. Koła tylnie u karety — olbrzymie, przednie niziuchne, przez co stangret musiał starannie omijać najmniejszy pień lub kamień, żeby osią przednią lub pudłem nie zaczepić. Stopnie u karet były jeszcze niżej od pudła przybite. Kiedy kareta brnęła po błocie, to stopnie garnęły je, jak pług ziemię. Na schyłku panowania Augusta III. zaczęły już się upowszechniać resory. Używano częściej resorów t. zw. wiszących, niż leżących, które później się rozpowszechniły.

Oprócz karet własnych, używała czasem w Warszawie mniej zamożna szlachta najemnych. Stolica posiadała kilku siodlarzy, którzy wynajmowali karetę i parę koni na godziny. Brano takie karety najczęściej od 7 rano do południa, a potem od 2 do 9 i dłużej, przyczem płacono „przodem“ (z góry) po czerwonym złotym od karety lepszej, od „podlejszej“ zaś po 2 złp.

Wielcy jednak panowie wstydzili się karet najemnych.

Bardzo dwornie i wspaniale wyruszali zwykle w drogę hetmani, zaniechawszy dawnego zwyczaju podróżowania konno. Za Augusta III. za dyshonor poczytywałby sobie hetman udawanie się w drogę na koniu.

Gdy hetman wielki koronny lub litewski jechał do króla na audyencyę lub na sejm, jego karetą paradną, w sześć koni, pod szorami ze złotem i srebrem, kierował stangret z kozła przy pomocy forysia.

* * * *

Kronika sportowa.

Bieg maratoński.

Polska przygotowuje się do „Igrzysk olimpijskich“, które odbędą się w roku 1920 w Amsterdamie, a w których wezmą udział wszystkie narody cywilizowane. Jak się zdaje najwybitniej przedstawiają się szanse polskie w footballu (piłce nożnej) o czem zresztą pisały już francuskie pisma sportowe. Inne działy sportu nie są w Polsce tak wybitnie rozwinięte, jak zagranicą, dlatego też rozmaite drużyny czynią forsowne przygotowania, by przynajmniej nie zostać na ostatniem miejscu. Dużo zainteresowania obudzi zapowiedziany na igrzyskach t. zw. „Bieg maratoński“,— to wspomnienie słynnego zwycięstwa Greków pod Maratonem, gdy szło o szybkie zawiadomienie o niem ludności ateńskiej. Odległość Aten od Maratonu, wynosząca 40,2 kilometry, przyjęto dziś jako metę.

Zwiastun zwycięstwa padł według Herodota.

Przyczyną śmierci była niezwykła szybkość bez uprzedniego przygotowania do takiego wysiłku. Przygotowania do biegu maratońskiego lub chodu na odległość, mają niezaprzeczenie doniosły wpływ na rozwój fizyczny i duchowy osobnika, wymagają jednak długich ćwiczeń (1—2 lat) tęgiego zdrowia, odpowiedniego wieku, właściwego odżywiania, cierpliwości, ostrożności i rozwagi. Sam jednak bieg maratoński nawet w najlepszych warunkach nie pozostaje bez ujemnego wpływu na zdrowie, zaś u osób słabszych lub niedostatecznie wytrenowanych może być przyczyną niedołęstwa lub śmierci. Taki sam wynik dają chody maratońskie na odległość, a to dlatego, że większość ludzi nie umie właściwie oddychać i chodzić, ponieważ zaś wszystkim się zdaje, że oddychanie i chód są czynnościami wrodzonemi, przeto niewiele osób uznaje potrzebę ćwiczeń.

Z ankiety, przeprowadzonej we Francyi w r. 1908, na podstawie odpowiedzi uczonych, kierowników treningu i uczestników wyścigów, wyciągnięto następujące wskazówki: 1) Wyścig chodem lub biegiem jest ćwiczeniem, godnem zalecenia, ale jedynie u osobników zdrowych. Stąd konieczność oględzin lekarskich. 2) Nie należy ścigać się przed ukończeniem 16 lat. 3) Szczególna ostrożność i stopniowanie oględne zachować należy przed 20-ym rokiem życia. 4) Aż do 18 lat nie należy przekraczać 7 klm., do 20 lat 12 klm., później zaś dochodzić można najwyżej do 16 klm. 5) Niezbędne jest trenowanie podług wskazań naukowych.

---

gromcą lwów, a clou jego produkcyi stanowiło wkładanie głowy w paszczę lwa. Głowa jego znajdowała się już w paszczach wszystkich lwów, któreśmy wozili ze sobą, ale szczególnymi względami Wallace'a cieszył się August, stare, wielkie, łagodne zwierzę, na które można było zawsze liczyć z pewnością.

Jak powiedziałem Wallace — nazywaliśmy go królem Wallace — nie lękał się niczego. Był prawdziwym królem zwierząt. Raz, gdy był pijany, wszedł o zakład do klatki rozwścieklonego lwa i bez kija zdołał go nauczyć rozumu. Bił go poprostu pięścią po nosie.

Pani de Ville spoglądała mile na króla Wallace'a, a Wallace patrzył mile na panią de Ville, ale p. de Ville spoglądał coraz posępniej. Ostrzegaliśmy Wallace'a, ale to się nie zdało na nic. Wyśmiał nas, jak również samego de Ville, któremu przy sposobności wygarbował porządnie skórę.

De Ville zachowywał się spokojnie i zimno jakby był z lodu. Tylko w jego oczach dostrzegłem dziwne błyski, które nieraz widziałem w oczach dzikich zwierząt. Poszedłem do Wallace'a i jeszcze raz go ostrzegłem. Śmiał się, ale jednak rzadziej już patrzył się na panią de Ville.

Przeszło kilka miesięcy bez żadnego szczególnego wypadku.

Cyrk nasz zatrzymał się w jednym z większych miast prowincyonalnych. Było to na popołudniowem przedstawieniu. Sala była pełna kobiet i dzieci. Szukałem jednego z moich kolegów i zajrzałem przez otwór w płótnie do garderoby. W garderobie stał Wallace, ubrany w trykoty, czekając na swoją kolej.

Przeczucie mnie tknęło, że się coś święci i pobiegłem za de Villem, który wyszedł z garderoby. Z uczuciem ulgi zobaczyłem, że opuścił cyrk i wsiadł do tramwaju.

Za kilka minut Wallace miał wykonać swój popisowy numer. „Król zwierząt“ był w złym humorze, postanowił wstrzymać oddech w piersiach publiczności, wszedł do klatki i zaczął drażnić lwy, tak że wszystkie groźnie zaryczały oprócz starego Augusta, który na to był zanadto opasły i ociężały. Wreszcie na zakończenie numeru Wallace wsunął głowę w paszczę starego lwa — gdy w tem szczęki zwierzęcia się zwarły i...

Poskromca lampartów uśmiechnął się w zamyśleniu, oczy znowu przybrały obojętnie marzycielski wyraz.

„I to był koniec króla Wallace'a — mówił dalej swoim smutnym, stłumionym głosem. Gdy się wzburzenie trochę uspokoiło, skorzystałem ze sposobności, podszedłem do niego. Powąchałem jego włosy... kichnąłem.

— I cóż? cóż to było?... — wyjąkałem z zapartym oddechem.

— Tabaka, którą de Ville posypał jego włosy w garderobie. Stary August nie miał żadnych złych zamiarów. On tylko kichnął. Oto wszystko.

W dziewiczych krajach Afryki.

9 (Dalszy ciąg).

VI.

Król Gobbi. — Wymiany. — Popłoch.

Nazajutrz po przybyciu O s y, nieco przed wschodem słońca, mieszkańcy statku przebudzeni zostali muzyką najhałaśliwszą, jaką sobie wystawić można.

Król Gobbi, który od kilku dni oczekiwał w lasach z sześcioma do siedmiomaset niewolników, pragnąc jak najprędzej rozpocząć wymianę, wysłał swych muzykantów dla wyprawienia serenady europejskim swoim przyjaciołom.

W jednej chwili wszyscy byli na nogach i przy pierwszym blasku jutrzenki zobaczyli na wybrzeżu siedzących w kuczki ze dwudziestu murzynów, z których jedni, jak głusi, uderzali w tkywy obciągnięte skórą małpią, drudzy zaś z całej siły dęli w trąby zrobione z trzciny bambusowej.

Niebawem ukazał się i sam Gobbi, otoczony żonami, szambelanami, seciną wojowników uzbrojonych w skałkówki i trzema gangasami, czyli kapłanami wielkiego boga Maramby... Był więc z nim dwór, rycerstwo i duchowieństwo... Żony królewskie wiewały nad monarchą wachlarzami, rozrywając go nadto śpiewem i tańcem; szambelanowie z orszaku jego królewskiej mości mieli za obowiązek specyalny asystowania przy jego toalecie, przechowywania kostyumów galowych, podawania fajki, noszenia broni i nalewania alugu, czyli tafii. Musieli także pękać od śmiechu, lub udawać smutek najgłębszy, stosownie do tego, czy król był wesoły, czy smutny.

Funkcyą najbardziej pożądaną, z którą największe związane były przywileje, było noszenie fajki. Wysoki taki dygnitarz, pozostający w zażyłości z monarchą, obrywał ciągle coś dla siebie i swoich. Do niego należały resztki z butelki tafii, jeśli wielkiemu Gobbi nie podobało się wypróżnić jej za jednym haustem; śniadał on okruchami pozostałymi po posiłku królewskim, donaszał stare jego undury i był wyłącznym rozdawcą (niby wielkim kanclerzem) orderu Blaszki od sardynek.

Dla wzbudzenia emulacyi w swej armii i naśladowania tego, co widział u białych, Gobbi, wróciwszy raz z podróży do Saint-Paul de Loanda, ustanowił order. Ponieważ sardynki są jednym z główniejszych artykułów wymiany, bo murzyni w Congo bardzo je lubią, poczciwy król kazał sobie oddawać wszystkie mosiężne blaszki owalne, ozdabiające z wierzchu puszki od sardynek, i zrobił z nich medale zasługi cywilnej i wojskowej. A ponieważ miał słabość do wymiaru szybkiej sprawiedliwości, więc pod karą śmierci, którą zwykle zamieniał (bo był miękkiego serca i to mu większą korzyść przynosiło) na wieczne niewolnictwo, postanowił że każdy z poddanych po zjedzeniu sardynek ma bezzwłocznie blaszkę ową przesyłać do skarbca jego królewskiej afrykańskiej mości.

W krótkim przeciągu czasu urząd kanclerski otrzymał kilkadziesiąt centnarów podobnych blaszek, i Gobbi, gdyby mu przyszła fantazya, mógłby natychmiast przesłać wielką gwiazdę swojego orderu wszystkim monarchom świata całego. Tymczasem ograniczył się, jako dobry sąsiad, do przesłania tej ozdoby gubernatrowi w Saint-Paul de Loanda, który na uprzejmość tę odpowiedział natychmiast przesłaniem skrzyni pełnej starych haftowanych mundurów, przeznaczonych do nadania wiekszej wspaniałości osobie królewskiej afrykańskiej mości.

W czas niejaki potem, pewien botanik niemiecki przybył zbierać rośliny. Gobbi dał mu również blaszkę od sardynek dla wręczenia swojemu monarsze. Tym sposobem w 186.. roku dwóch tylko Europejczyków dostąpiło zaszczytu tego: gubernator portugalski w Congo i potomek Fryderyka Wielkiego.

Obowiązki innych szambelanów nie były także synekurami. Gobbi posiadał z pięćdziesiąt skrzyń, które wszędzie brał z sobą. W skrzyniach tych znajdowały się najromaitsze mundury: strażaków, gwardzistów narodowych, konnej gwardyi angielskiej, Szkotów, Szwajcarów katedralnych i senatorów, w które się ubierał wedle okoliczności i godności osób, jakie miał przyjmować.

Mundury te jedne były upominkami w dowód przyjaźni i szacunku, przysłanymi przez monarchów europejskich, drugie towarem zamiennym z handlarzami niewolników. Biedni przełożeni nad strażą tej cennej starzyzny żyli w obawie nieustannej, bo każdy guzik stracony, najmniejszy galon rozdarty, narażał ich na dymisyę, a często na wymianę jako niewolników za nowy ubiór.

Biografia Gobbiego niezły stanowiłaby przyczynek do historyi despotów. Wstępując na tron przodków, rozpoczął od otrucia stryjów i synowców swoich podczas biesiady, dla zabezpieczenia się na tronie. Zebrawszy następnie potężne wojsko, rzucił się na posiadłości wszystkich drobnych władców, sąsiadów swoich, i dziedzictwem ich stopniowo zaokrąglił państwo. Ponieważ lubił galony, broń piękną, tafię, czerwone tkaniny, kapelusze z piórami, scyzoryki i zwierciadła, czego dostać mógł tylko od Europejczyków, przeto rokrocznie urządzał trzy lub cztery najazdy na sąsiadów, zabierał za każdym razem od pięciuset do sześciuset niewolników, których wymieniał na jakimś punkcie wybrzeża. Poddani ulegali mu ślepo, bo gangasowie uczyli ich od dzieciństwa, że Gobbi był przedstawicielem wielkiego Maramby na ziemi.

Według świadectwa podróżnika Battela, posąg Maramby mieści się w koszu wielkim, podobnym do ula, w wielkim budynku, służącym za świątynię. Posąg ten służy do wykrywania kradzieży i morderstw. W razie najmniejszego podejrzenia, gangasowie czyli kapłani udają się do czarów i tak są przekonani o ich skuteczności, że jeśli ktokolwiek umiera, wszyscy sąsiedzi przysięgać na Marambę muszą, że nie są winnymi śmierci nieboszczyka. Kiedy chodzi o dygnitarza, cała wioska podobną przysięgę składać musi. W tym celu każdy klęka, obejmuje posąg i wymawia te wyrazy: „poddaję się próbie, o Marambo". Utrzymują, że winny pada natychmiast trupem, choćby przed trzydziestu laty zbrodnię popełnił. Łatwo pojąć, jakiego poszanowania używać musi król panujący z łaski wielkiego Maramby, którego prosty posążek takie wyprawia cuda. Poczciwy Battel dowodzi, że w ciągu rocznego jego w tym kraju pobytu widział, jak sześciu czy siedmiu winnych przy próbie tej padło trupem. Oczywiście ludzie ci musieli być w najgorszych stosunkach z gangasami, którzy na głowy ich ściągnęli gniew bóstwa.

Zabobony te panują ogólnie od Bengueli do przylądka Lopez. Służbie Maramby poświęcają młodzież płci obojga od dwunastu lat wieku. Gangasowie zamykają nowicyuszów w izbie ciemnej i poddają długiemu postowi; następnie wypuszczają z poleceniem milczenia pomimo prób wszelkich przez czas niemniej długi. Próby te wystawiają nowicyuszów na cierpienia najrozmaitsze. Nakoniec kapłan przyprowadza ich przed bożyszcze i nacina im na łopatkach znaki w postaci księżyca, przyczem nowicyusze przysięgają na krew z nacięć tych płynącą, że będą wierni Marambie. Ostatecznie zabrania im jedzenia pewnych gatunków mięsa i nakłada obowiązki ściśle dokonywane. Godłem ich wtajemniczenia jest mała skrzyneczka, którą noszą zawieszoną u szyi, a która zawiera jakąś rzekomą relikwię Maramby.

Gobbi nie udawał się nigdzie bez posągu wyobrażającego bożyszcze opiekuńcze jego dynastyi, a kiedy łuk tafii wychylał, co mu się zdarzało pięć do sześciu razy dziennie, nie zaniedbywał nigdy ofiarniczego zraszania stóp bożyszcza kilkoma kroplami. Był on więc, jak widzimy, monarchą dziedzicznym i z Bożej łaski. Miał zatem najzupełniejsze prawo sprzedawania poddanych swoich dla pozyskania tafii i kasków strażackich; poddani ci bowiem byli jego mieniem, jego własnością, jego

dziedzictwem, a prawo jego z bożej łaski nadawało mu jusutendietabutendi (moc używania i nadużywania), według terminu prawnego, rozporządzania losem innych śmiertelników, którzy nie mieli szczęścia urodzić się pomazańcami Bożymi.

Zresztą Gobbi był władcą łaskawym, bynajmniej nie egoistą, pozwalającym podwładnym swoim, dworakom, gangasom, dygnitarzom, rycerzom, skoro sam był syty, zdzierać wszystko, czego zapomniał lub nie raczył zabrać dla siebie. Niebezpiecznem było jednak zbliżać się do niego, kiedy łyknął nad miarę. Królowe i szlachetne księżniczki, które względami swymi zaszczycał, musiały wtedy chronić się w ustronne lasu zakątki i oczekiwać powrotu owej powagi wspaniałej i błogiego spokoju ducha, właściwych krwi królewskiej i wyróżniających podobnych mu potentatów od poziomego motłochu.

Kiedy w razie podobnym wysokość jego przychodziła do siebie, a nie widziała kobiet przy boku swoim, wtedy szambelani otrzymywali obfite kopnięcia nogą, a zbawienna ta gimnastyka stopniowo uspokajała umysł monarszy.

Granice państwa swego posunął on stopniowo od brzegów Koanzy do źródeł Kuango, a plemiona osiadłe na brzegach jeziora Kuffua zmusił do opłacania mu daniny. Staczał bardzo często boje na czele trzydziestu tysięcy wojowników, a dla zyskania prawa do pamięci i wieńców u potomności, gotowej zawsze do stawiania ołtarzy i kolumn rostralnych wszystkim pogromcom na polu walki, brakowało mu jedynie zręcznego historyografa.

Obok Gobbiego trzymało się zamsze dwóch dudosów, czyli wieszczbiarzy Albinosów, których obowiazkiem było czytanie w gwiazdach i wnętrznościach ofiar ludzkich, bez czego władca murzyński nie robił kroku.

Według opisu wszystkich tych podróżników, rasę tę wyrodzoną spotyka się dosyć często na wybrzeżu i w głębi Congo.

Albinosi ci, według Hoefera, odznaczają się białą barwą skóry i włosów, kędzierzawych jednakże, i czerwonemi oczyma, których źrenica pozbawiona czarnego barwika uwidomia cieniuchne rozgałęzienia naczyń krwionośnych. Brak tego barwika robi oczy podobne nader wrażliwemi na światło; tęczówka jej ulega ciągłym skurczom, które za najmniejszą zmianą światła rozszerzają lub zwężają otwór źrenicy. Biali ci murzyni widzą daleko lepiej w nocy, niż przy dziennem świetle.

Wiadomo, że dzieci murzynów rodzą się białemi, a skóra ich po kilku dniach dopiero ciemnieć zaczyna. Albinizm więc u negrów uważaćby można za zastój w normalnym rozwoju, wywołany wskutek przyczyn nieznanych. Nie ogranicza się on do wybrzeży afrykańskich; często trafia się w Indyach i Ameryce środkowej, ale rzecz szczególna, że kiedy w tych ostatnich krajach Albinosi uważani są za istoty nieczyste i niezupełne, w Congo przeciwnie traktowani są jako indywidua uprzywilejowane; kapłani pozyskują je od rodziców, kształcą w praktykach magicznych i umieszczają przy królach lub naczelnikach plemion w charakterze augurów i czarodziejów. Cieszą się oni poważaniem wszystkich do tego stopnia, że na targach i w chatach wolno im brać żywność i wszystko, czego potrzebować mogą.

Przy boku Gobbiego dwaj dudosi pełnili również obowiązki lekarzy.

Kiedy jego królewska mość przybywała na miejsce, które na spoczynek obrać sobie raczyła, gangasowie i dudosi szeptali zaklęcia nad pgórkiem, który miał mieć zaszczyt stania się łożem monarszem, ażeby złe duchy, przewidujące zamiar władcy i dla niepokojenia go ukryte w trawie, zaklęte zostały. A było to tem ważniejszem, że prześwietny Gobbi, nie znając użytku pewnych części odzieży, zmuszony był z konieczności do wystawiania znacznej części swego szlachetnego ciała na napady nieprzyjaciół swoich, przedzierzgniętych zręcznie w mrówki, szczypawki lub skorpiony.

Wymiótłszy starannie pagórek, który łaskawy jego władca palcem mu ukazał, arcykapłan, głowa gangasów, pluł trzykrotnie na ziemię, dla okazania, jak mało sobie robi ze złych duchów, które miały nikczemną odwagę ukrywać się w trawie; następnie rozciągał na niej kawał skóry krokodyla, która dotknięcie wielkiego Maramby zmieniło w talizman, a wtedy wielki Gobbi mógł już siadać bezpiecznie.

W obecnej chwili przywdział on jeden z najwspanialszych ubiorów swoich. Nogi jego królewskiej mości wyglądały w naturalnym swoim stanie z pod wspaniałego munduru admirała angielskiego, kiedy na głowie w zastępstwie korony pietrzył się pyszny biały cylinder, o długim włosie, z główką szersza u wierzchu, formy nazywanej w swoim czasie tromblonem. Laska tamburmażora, na której opierał się z godnością, uzupełniała ten strój galowy.

Kiedy książęta i księżniczki krwi, szambelani, dwór wreszcie cały otoczyli monarchę według przepisów najsurowszej etykiety, kapitan Noel ukazał się na pokładzie O s y ze swymi oficerami i kazał dać dwadzieścia jeden wystrzałów z karabinu na cześć swego przyjaciela Gobbiego. Następnie z butelką tafii w ręku zeszedł na ląd i rozpoczęła się rozmowa.

— Iluż przyprowadzisz mi niewolników? — zapytał starego handlarza hebanu.

— Dwieście dwadzieścia kobiet, czterystu pięćdziesięciu mężczyzn i sześćdziesięcioro dzieci.

— Jaka cena twoja?

— Sto trzydzieści pannosów, sztuka w sztukę.

— Słuchaj, Gobbi — marszcząc brwi rzekł Noel — nie mam czasu do targowania się z tobą. Trzeba, żeby jutro wieczorem o zachodzie słońca wszyscy byli na statku, a O s a gotowa do korzystania z wiatru nocnego dla wypłynięcia na ocean. Więc daj pokój kramarzeniu się, jeśli chcesz, żebyśmy zrobili interes. Inaczej, jeśli się nie zgodzę z tobą, podnoszę kotwicę i płynę na przylądek Frio, do króla Ovampo.

— A więc dobrze! dasz mi cenę umówioną — odpowiedział Gobbi, strwożony myślą zostania na koszu z towarem. — Dziewięćdziesiąt pięć pannosów.

— Nie, dziewięćdziesiąt.

— Oto już dwadzieścia pięć dni idziemy tu z brzegów Kuango.

— Nie dam ci cala więcej, dzieci za dużo.

— Zgoda na dziewięćdziesiąt pannosów — odrzekł władca Kassandży, Kuango, Kuffua i innych krajów — ale jako porękawiczne, dasz sto galonów rumu dla żon moich, oficerów i wojska mego, a dwadzieścia pięć galonów dla gangasów wielkiego Maramby.

— Mniejsza o to, ale niech to będzie ostatniem żądaniem twojem.

— Zgoda, możemy wypić alugu.

Kapitał Noel odkorkował wtedy butelkę tafii, pociągnął haust i wręczył go Gobbiemu. Ceremonia ta kończyła umowę stanowczo.

Odebrawszy napój drogocenny, Gobbi trzy razy dłonią potarł żołądek, następnie przyłożywszy z uszanowaniem szyjkę do ust, zaczął pić z rozkoszą, długo płyn trzymając w ustach, zanim go połknął. Skończywszy, rzucił na trawę pustą butelkę i rozpoczęła się wymiana.

Nieszczęśni więźniowie powiązani przyprowadzani byli na brzeg, a współcześnie majtkowie O s y wyładowywali towary. Każdy więzień pojedyńczo wymieniany był na dziewięćdziesiąt pannosów w postaci rumu, strzelb, różnej broni, tkanin i innych przedmiotów. Giliasse oglądał niewolników, ajent Rontonaków i Toucas dobierali jego wartość. Skoro jeden i druga przyjęte zostały obustronnie, król Gobbi jedną ręką rozwiązywał niewolnika, drugą sięgał po towary.

Wtedy dwaj majtkowie odprowadzali niewolnika na pokład, kładli mu kajdany na ręce i nogi, a dla większego bezpieczeństwa przykuwali do kółka wbitego w ścianę statku.

O zachodzie słońca trzystu blizko murzynów było już wsadzonych.

(C. d. n.).

Rozważcie!

Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli zmateryalizowanej Ameryki, Teodor Roosevelt, opublikował następujące aforyzmy, które podajemy do rozważenia pewnym ludziom i u nas.

1. Słusznie cenimy sukces, lecz czasem przeceniamy go, jeśli zapominamy, że rezultat mógł być uzyskany środkami, które powinnyby go uczynić obmierzłym i pogardzonym przez człowieka „honoru“.

2. Żadna bandycka organizacya średniowieczna nie prowadziła bardziej wstrętnego życia niż byłoby życie dla ludzi, dla których handel i przemysł stanowią wszystko i którym wyrazy: honor narodowy, sława, śmiałość i odwaga, prawość i brak egoizmu stały się bez znaczenia. Wyłączny materyalizm wyłącznie komercyjny ideał ludzi, dla których ojczyzną jest ich kasa, w istocie swej jest rozkładowym i poniżającym. Jest taką samą prawdą obecnie, jak było nią zawsze, że żaden naród ani człowiek nie żyje tylko chlebem.

3. Są ludzie, niezdolni ocenić jakiejś zalety, niestanowiącej wartości handlowej, którzy nie rozumieją, że poeta może daleko więcej zdziałać dla kraju, niż fabrykant gwoździ, nie zdają oni sobie sprawy, że żaden zasóbek ekonomicznego dobrobytu nie zastąpi braku cnót bohaterskich, ani zdoła sam w sobie rozwiązać groźnych problemów socyalnych.

4. Materyalista jest przedewszystkiem krótkowzrocznym. Dla pewnych ludzi handel i własność są bardziej święte, niż życie lub honor, znacznie donioślejsze, niż wielkie myśli lub wzniosłe uczucia, które jedynie mogą stworzyć naród potężnym.

5. Winniśmy być równocześnie uczciwymi i mężnymi, służyć wysokiemu ideałowi, a przecież stosować metody praktyczne.

6. Moc fizyczna jest dobra moc umysłowa jeszcze lepsza, ale wyżej od obu trzeba cenić charakter.

Ofiary kobiet.

Czy wiecie, ile z powodu kobiet ginie stworzeń? (O mężczyznach nie mówię).

Dla przystrojenia kobiety potrzeba:

Wieloryba — na fiszbiny,

Kolibra — na kapelusz,

5 strusiów — na kapelusz,

Słonia — na wachlarz,

Dziesięć krymskich baranów — na futro,

1,200.000 kokonów jedwabnika — na suknię,

Jednego żółwia — na grzebienie.

Tuzin psich skór — na rękawiczki,

A tylu ofiar nie starczy na zupełne przybranie kobiety: jej ramiona pozostają odsłonięte.

* * *

Blondynki czy brunetki?

Które kobiety są dzielniejsze, blondynki czy brunetki? Ankietę na ten temat urządziło pewne pismo angielskie, a odpowiedzi stanowczo przechylają szalę na korzyść ciemnowłosych.

Powieściopisarz Charles Garvie bie że stronę brunetek, choć z pewnemi zastrzeżeniami. Brunetki mają więcej temperamentu, łatwiej sobie radzą w życiu i prędzej oswajają się z każdym zawodem. Za to blondynka jest rozważniejsza, bardziej wyrachowana i chłodniejsza, dlatego nie popełnia tak łatwo błędów jak brunetka i można na niej więcej polegać.

Podobne zdanie wyrażają właściciele wielkich firm, jednak zawsze nakoniec przyznają pierwszeństwo brunetkom.

Pewien reżyser kinematograficzny przypisuje brunetkom większe zdolności sceniczne niż blondynkom.

W tej mierze jednak zdania były bardzo różnorodne. Przytaczano wielką liczbę sławnych aktorek, które były blondynkami, zgodzono się jednak nakoniec, że przecież brunetki mają na scenie więcej życia i wdzięku i silniejsze na publiczność wywierają wrażenie.

Najświetniej rozwiązuje ten problem dyrektor teatru Seymour Hicks, który powiada, że dla aktorki jest najważniejszem, żeby była ładną. Posiadającą ten warunek, brunetkę czy blondynkę obowiązuje on się zawsze wyrobić na dobrą aktorkę.

* * *
* * *

Olbrzymia siła wiatru.



Technika nowoczesna postanowiła zużytkować olbrzymią siłę wiatru, dla skonstruowania motorów tzw. eolskich, które popędzane tylko wiatrem mogą być używane do mielenia zboża, wytwarzania zgęszczonego powietrza, do ładowania akumulatorów, do celów elektrolizy, do filtrowania wody, itp. Na rycinie naszej widzimy taki właśnie najnowszej konstrukcyi wiatrak, który zastępuje motor parowy, pochłaniający wielką ilość węgla. Zastąpienie siły parowej przez siłę wiatru umożliwiło takie oszczędności, że w bardzo krótkim czasie opłaciły się koszta wybudowania nowej machiny.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

8 (Ciąg dalszy).

Podprokurator królewski.

Przy ulicy Grand Cours wprost wodotrysku Meduz, w domu starożytnej, arystokratycznej budowy, jeszcze podług planu Pugeta stawianym, tegoż samego dnia i o tej samej godzinie odbywała się uczta także zrękowin. W miejsce jednak majtków i żołnierzy, wogóle ludu, była tam sama „śmietanka" towarzystwa marsylskiego. Dawny magistrat, który wystąpił ze służby za panowania przywłaszczyciela ucztował; starzy to oficerowie, co zbiegli z szeregów i przeszli do armii Kondeusza, młodzież wychowana na łonie swojej rodziny i nie mająca jeszcze dość dobrze zapewnionego bytu, chociaż opłacała czterech czy pięciu pełniących obowiązki z nienawiści ku temu, którego pięć lat wygnania uczyniło w oczach Francyi męczennikiem, a piętnaście lat restauracyi, bożyszczem.

Siedzieli przy stole, rozmowa szła z żywością nadzwyczajną, podsycana wszystkiemi ówczesnej epoki namiętnościami politycznemi. tem straszniejszemi, bardziej ożywionemi i zaciętemi na południu, gdzie od pięciu wieków żywione nienawiści religijne, połączyły się teraz ze stronnictwami politycznemi.

Ów cesarz, król wyspy Elby, ten co się stał panem jednej niemal części świata, panował ludowi dwadzieścia pięć milionów dusz liczącemu, a któremu już zabrzmiał raz okrzyk: „Niech żyje Napoleon!" od 120 milionów poddanych i w dziewięciu różnych językach; był w czasie tej uczty traktowany, jako człowiek, którego Francya na zawsze straciła i który tronu nigdy odzyskać nie może, urzędnicy magistratu odkryli swoje widoki w tej mierze polityczne; wojskowi rozmawiali o Moskwie i Lipsku; kobiety o rozwodzie jego z Józefiną. Zdawało się temu gronu wesołemu i tryumfującemu z powodu nie tak upadku jednego wielkiego człowieka, jak z zatracenia zasady, że teraz nowe dlań otwiera się życie, i że ocknęli się wreszcie ze snu okropnego.

Jakiś starzec, ozdobiony orderem św. Ludwika, powstał i wzniósł zdrowie króla Ludwika XVIII. był to markiz de Saint-Meran. Na ten toast tyle wspomnień obudzający, powstał wielki szmer, mężczyźni podnieśli w górę szklanki na sposób angielski, kobiety poodpinały bukiety i zasłały niemi stół cały. Zapał ogarnął całe towarzystwo.

— Gdyby tu byli, zgodziliby się niezawodnie, — rzekła markiza Saint-Meran, kobieta z martwym i obojętnym wyrazem oczu; — otóż gdyby tu byli ci wszyscy rewolucyoniści, co nas wygnali, a którym my teraz pozwalamy knować przeciwko nam spiski w własnych pałacach za wydarty kawałek chleba w czasie teroryzmu kupionych, przyznaliby niewątpliwie, że prawdziwego poświęcenia my daliśmy z siebie przykład, ponieważ trzymaliśmy stronę upadającej monarchii, gdy oni witali wschodzące słońce i do tryumfalnego łączyli się wozu; robili majątki, gdyśmy poświęcali nasze, przyznaliby, powtarzam, że król nasz, jest nam rzeczywiście ukochanym Ludwikiem, ich zaś uzurpator, nigdy niczem więcej dla nich nie był jak Napoleonem złowrogim: czyż nie tak panie Villefort?

— Co pani raczyła rzec — zapytał młody człowiek, do którego zwróciła się, — proszę darować, nie uważałem.

— Eh, dajże pani Markiza pokój, tym dzieciom — rzekł starzec, — one się oto wkrótce pobiorą i niezawodnie mają o czem innem do mówienia, jak o polityce.

— Przepraszam mamę dobrodziejkę, — rzekła młoda piękna blondyna. — Panie de Villefort, uważaj pan, moja matka mówi do niego.

— Gotów jestem jej odpowiadać, jeśli raczy wznowić przedmiot, który niedość dobrze słyszałem!

— O przebaczam panu, — rzekła Markiza, — mówiłam właśnie panu Villefort, że Bonapartystów nie przejmowało ani takie jak nas przekonanie, ani to poświęcenie.

— Tak pani, w nich jednak jest jedno, co to wszystko zastępuje, f a n a t y z m. Napoleon to drugi Mahomet wschodu; dla tych wszystkich zwyczajnych ludzi, a dumnych do najwyższego stopnia, był on nie tylko prawodawcą i panem, ale nadto wyrazem i zasadą równości.

— Równości! — zawołała Markiza. — Napoleon wyrazem lub godłem równości! a cóż zrobisz naprzykład z owym panem Robespierrem? zdaje mi się, że mu ubliżasz, przynając to Korsykaninowi: czyż nie dosyć jednego przywłaszczenia?

— Nie pani, ja każdemu, co mu należy, oddaję; Robespierre prowadzi Ludwika XVI na szafot. Napoleon Vendome na kolumnę; ten stworzył radość, która upadła, tamten równość, która się wznosi; ten prowadził królów na pole gilotyny, a ów lud na pole, gdzie koronę zdobyć było można. Kromwel, który i połowy wielkości i geniuszu Napoleon nie miał, znalazł przecie stronników.

— Wiesz pan co, panie Villefort, wszystko, coś powiedział pachnie miłą rewolucyą. Przebaczam ci to jednak; trudno, aby syn żyrondysty nie zachował coś z żywiołów swojej ziemi.

Żywy rumieniec wystąpił na czoło pana Villefort.

— Prawda, że mój ojciec był żyrondystą, ale mój ojciec nie głosował za śmiercią króla, mego ojca ten sam teroryzm co i was wygnał z kraju, i mało brakowało już, aby głowa jego spadła na tem samem, co ojca pani rusztowaniu.

— Masz słuszność, — rzekła Markiza, — trzeba było wszakże dodać, że oba cierpieli za całkiem przeciwne sobie zasady, i dowód najlepszy w tem, że cała moja rodzina wytrwała w zasadach wspólnych wygnańcom twój zaś ojciec pospieszył co prędzej z hołdem dla nowego rządu; i gdy obywatel Noirtier był żyrondystą, hrabia Noirtier senatorem.

— Moja mamo droga, — rzekła Renee, piękna blondyna, — przypomnij sobie, żeśmy już postanowiły nie wznawiać nigdy tych okropnych wspomnień.

— Pani, — dodał Villefort, — i ja łączę moje prośby z prośbami panny de Saint-Meran, abyś raczyła raz na zawsze przeszłość puścić w niepamięć. I pocóż wywoływać spomnienia, których cofnąć i zmienić nawet najwyższa potęga Stwórcy nie zdoła? Bóg może rządzić przyszłością, nie zmniejszy jednak klęsk i bolów przeszłości. Nam ludziom, cóż właściwie pozostaje? nie bluźnić i nie złorzeczyć, ale rzucić zasłonę na tę przeszłość. Co do mnie, nietylko wyznaję różne od ojca mojego zasady, ale nawet inne już noszę nazwisko. Mój ojciec był, a może i dotąd jest jeszcze Bonapartystą, i nazywa się Noirtier, ja zaś jestem rojalistą i nazywam się Villefort.

— Brawo, Villefort, brawo! — rzekł Markiz; — dobrześ odpowiedział. Ileż to razy ja błagałem Markizy o przebaczenie i puszczenie w niepamięć przeszłości — i zawsze bez skutku. Ty będziesz szczęśliwy, mam nadzieję.

— Dobre, najlepiej, — rzekła Markiza, — zapomnijmy o przeszłości i niczego więcej nie żądam — zgoda; pragnę tylko, aby Villefort był nieugiętym w przyszłości. Nie zapominaj panie Villefort, że my przed Jego Królewską Mością odpowiedzialni jesteśmy

za ciebie, i że jak Jego Królewska Mość na nasze wstawienie i polecenie raczył zapomnieć panu przeszłości (to mówiąc, podała mu rękę), tak ja zapominam o wszystkiem na twoje prośby. Pomnij jednak, jeśli ci wpadnie w ręce jaki spiskowy, że oczy rządu zwrócone są więcej na ciebie, jak na kogo innego, że mu wiadomo, iż należysz do rodziny, która może być podejrzaną o stosunki ze spiskowymi.

— Niestety! pani, — rzekł Villefort, — urząd mój, a szczególnie czasy, w których żyjemy, nakazują mi być surowym. I będę takim. Otrzymałem już kilka oskarżeń w sprawach politycznych i dowiodłem pod tym względem mej nieskazitelności. Na nieszczęście, jeszcze nie koniec na tem.

— Czy tak? — rzekła Markiza.

— Podobno, że tak. Napoleon będąc na wyspie Elbie osadzonym, za nadto jest blizko Francyi; obecność jego naprzeciwko brzegów naszych, utrzymuje w nadziei jego stronników. Marsylia liczy mnóstwo oficerów na połowie żołdu, którzy co dzień za najbłahszym pozorem szukają zajść z rojalistami; stąd nieustanne pojedynki pomiędzy ludem.

— Ale, ale — ozwał się hrabia de Servieux dawny przyjaciel Markiza de Saint-Meran i szambelana hrabiego d'Artois, czy wiecie, że święte przymierze postanowiło przenieść go.

— A tak jest. Była o tem mowa, kiedyśmy wyjeżdżali z Paryża, — rzekł pan de SaintMeran. — A gdzież go myślą wysłać

— Na wyspę św. Heleny.

— Na wyspę św. Heleny! cóżto to jest? — zapytała Markiza.

— Wyspa, o dwa tysiące mil stąd odległa, za równikiem, — odpowie hrabia.

— Jak to dobrze, bo gdzież tu był rozum! jak powiada Villefort, czyż to się godziło zostawiać takiego człowieka, pomiędzy Korsyką, gdzie się urodził, Neapolem, gdzie dotąd panuje jego szwagier, i w obliczu tych Włoch, z których chciał synowi swojemu utworzyć królestwo!

— Ale cóż robić, — rzekł Villefort, — traktat z 1814 roku istnieje w swej mocy i nie wolno dotknąć osoby Napoleona, niezłamawszy traktatu tego.

— I cóż stąd, to go złamią, — rzekł pan de Servieux. — Czy on też pomyślał o tem także, kiedy szło o wydania rozkazu, aby rozstrzelać księcia Eugeniusza?

— No, — rzecze Markiza, — rzec stanęła; przymierze święte uwolni Europę od Napoleona, a Villefort Marsylię od jego stronników. Czy król rządzi, czy nie rządzi, rząd jego powinien być silny, a jego ajenci nieugiętymi; to jedyny środek uchronienia się od nieszczęść.

— Co ja tu pomogę pani dobrodziejko! — rzekł uśmiechając się Villefort, — podprokurator królewski wtenczas zwykle jest powołany, gdy już złe spełnione.

— On więc powinien je naprawić.

— Ja pani powiem otwarcie, że my nie naprawiamy złego, ale mścimy się i nic więcej.

— Ah! panie Villefort, — wtrąciła młoda dziewica, córka hrabiego de Servieux i przyjaciółka panny de Sait-Meran, — postaraj się o jaki zajmujący proces, jak będziemy w Marsylii. Nie byłam nigdy obecną na rozprawie kryminalnej, a mówią, że to ma być bardzo ciekawe.

— Rzeczywiście bardzo ciekawe, — rzekł podprokurator. — bo zamiast sztucznej tragedyi, widzimy dramat prawdziwy: zamiast boleści udanych, odgrywanych, widzimy boleść rzeczywistą. Ten winowajca, który tam naprzykład odchodzi do domu, po zapadnięciu zasłony, spożywa spokojnie obiad i odpoczywa w gronie rodzinnem, aby potem znowu wystąpić na scenę udanych boleści i cierpień; tu taki sam wchodzi do więzienia i zastaje w niem kata. Widzisz więc pani, że dla osób nerwowych, potrzebujących gwałtownych wstrząśnień, nie ma jak takie widowiska. Bądź pani spokojną, jak tylko zdarzy się okoliczność, nie zaniedbam panią zaprosić na nie.

— On nas drżeniem i zgrozą przejmuje, a uśmiecha się! — rzekła Renee, której twarz bladość zupełna pokryła.

— Co pani mówisz? — odpowie Villefort, — to prosty pojedynek... ja już pięć lub sześć razy narażony byłem na śmierć niewątpliwą z politycznymi winowajcami lub innymi... I teraz kto wie, ile sztyletów ostrzą tam gdzieś na mnie w ukryciu.

— Ah mój Boże miłosierny! — rzekła Renee, blednąc coraz bardziej; — czy pan to seryo mówisz, panie Villefort?

— Najzupełniej, droga pani, — odrzekł młody urzędnik z uśmiechem na ustach. Przy tych zaś pięknych procesach, których pani tak żąda, a ja będę się starał ciekawość jej zaspokoić, których i ja niemniej pragnę dla zaspokojenia własnej dumy, położenie moje coraz się pogarsza. Każdy napoleoński żołnierze nawykły ślepo uderzać na nieprzyjaciela, czy myślicie panie, że się długo namyśla, kiedy ma spalić ładunek lub pójść na bagnety? Czyliż więc bardzo się długo zastanawiać będzie, zabić-li albo nie, człowieka, którego uważa za swego nieprzyjaciela, jak się nie namyślał nigdy, gdy miał uderzyć Węgra, Hiszpana lub Araba? To rzecz konieczna, bez tych niebezpieczeństw, położenie nasze nie miałoby zasługi. Ja sam kiedy widzę w oku obwinionego iskrzący blask wściekłości, uczuwam w sobie wzrastającą odwagę, czuję zapał: badanie przestaje być procesem, zamienia się w walkę: nacieram na niego, on odpiera natarcia, podwajam, a tak i walka kończy się jak każda inna, zwycięstwem, lub porażką. Oto jest zawód prawnika! niebezpieczeństwo rodzi w nim zdolność wymowy. Gdyby mi jaki obwiniony po mojej replice uśmiechnął się, byłbym przekonany, żem źle mówił; że to, com powiedział, było słabe, mierne, niedostateczne i bez życia. Uważcie więc panie, jakiego uczucia dumy doświadcza prokurator królewski przekonany o winie oskarżonego, gdy pod ciężarem i mocą dowodów jego i piorunami jego wymowy, drży i zgina się winowajca! głowa jego schyla się, i spadnie nakoniec.

Renee wydała lekki krzyk.

— Oto się nazywa mówić, — rzecze jeden z biesiadników.

— Takiego nam człowieka potrzeba w czasach, w jakich dziś żyjemy, — rzecze drugi.

— To też, w czasie ostatniego twego procesu, wyborny byłeś panie Villefort. Wiesz pan, ten, co to zabił własnego ojca; pan też w rzeczy samej zabiłeś go swojemi słowami, zanim kat się go dotknął.

— Oh, co do ojcobójców, dla tych nie mam litości, i nie znam kary godnej takiego występku, ale co do przestępców innego rodzaju.

— Inni przestępcy są jeszcze gorsi. — zawołała Markiza, — moja Renee, król jest ojcem narodu, chcieć więc zabić króla, jestto chcieć zabić ojca trzydziestu milionów ludu.

— Dajmy temu pokój, panie Villefort. — rzekła Renee, — przyrzeknij mi pan być pobłażającym dla tych, których ja panu ośmielę sie polecić.

— Dobrze pani, — rzekł Villefort z zachwycającym uśmiechem, — my razem będziemy odbywać indagacye.

(C. d. n.)



Człowiek który zjadł siostrę.

Ten oto czerwonoskóry dzikus zjadł swą rodzoną siostrę — bynajmniej nie z miłości, ani też nawet z głodu. Jako dziedzicznie obciążony kanibalskimi instynktami nie mógł pohamować swego apetytu na ludzkie mięso, a nie mając pod ręką żadnych dalszych krewnych, upiekł i zjadł własną siostrę.



Prymadonna małpiego teatru.

W Anglii budzi obecnie senzacyę teatr małp, tak doskonale wytresowanych, że odgrywają one całe sztuki teatralne, — oczywiście, że tylko mimiczne! Illustracya nasza przedstawia główną bohaterkę, prymadonnę „małpiego teatru".

Zwycięstwo ziemniaka.

Amerykański przybysz. — Skąd się wzięła nazwa kartofel? — „Świńska karma".

Obecnie, gdy ziemniaki stanowią tak ważny, nieodzowny i ulubiony artykuł spożywczy, trudno sobie wyobrazić, że z początku ziemniak musiał toczyć ciężką walkę zanim zdobył sobie prawo obywatelstwa.

W końcu XVI stulecia po raz pierwszy sprowadzono ziemniaki z Ameryki do Europy. Admirał Walter Raleigh, odkrywca Wirginii, przywiózł w 1584 r. bulwy ziemniaczane do Irlandyi. Dopiero jednak w połowie XVIII wieku, ziemniak czyli kartofel wszedł w skład codziennego pożywienia ludności angielskiej i irlandzkiej. Także i do krajów południowych, do Hiszpanii i Włoch zawitały ziemniaki przy końcu XVI w. We Włoszech otrzymały właśnie nazwę „kartofle". Wyraz ten powstał zapewne z przekręcenia słowa „taratuffola" — trufla. Z tego później utworzyły się nazwy: tartuffel, artoffeli, erdtuffla, cardoffel, a następnie w Niemczech zmieniono to na: kartofel. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że nawet w tym klasycznym kraju „kartoflarzy" bulwy ziemniaczane zyskały odrazu uznanie. I tam trzeba było z początku walczyć z nieufnością ku nowej jadalnej roślinie. W Saksonii wyśmiewano księży, którzy z kazalnic nakłaniali do uprawiania kartofli. Dopiero po siedmioletniej wojnie w czasie ogólnego głodu kartofel odniósł walne zwycięstwo — przedewszystkiem na piaszczystym nieurodzajnym gruncie Brandenburgii. Aby wszakże nakłonić swoich podwładnych do obsadzania pól ziemniakami, musiał król pruski wydać specyalne surowe zarządzenia. Na Śląsku nakaz uprawiania kartofli wywołał burzliwy protest. Chłopi pod strażą dragonów musieli sadzić ziemniaki.

— Tę świńską karmę chcą, abyśmy jedli! — irytowali się.

Ale pożywność i wydatność kartofla zrobiła swoje. Powoli ludzie zagustowali w amerykańskim przybyszu, który raz złamawszy zaporę uprzedzeń, jal się z wielką szybkością aklimatyzować.

I u nas w Polsce także ziemniak dopiero w XVIII w. wszedł w życie... A teraz trudno sobie wyobrazić wyżywienie ludności bez tego tak ważnego produktu. Można się obejść bez mięsa, można jako tako zastąpić mąkę — ale bez ziemniaków poprostu wyżyć niepodobna! One to były najsilniejszą podporą aprowizacyjną w czasie wojny. one ratują od głodu górali, żyjących na skalistych gruntach, one stanowią główny posiłek ubogiej ludności na „przednówku". one to w różnych postaciach pojawiają się codziennie na stole bogacza i na stole biedaka...

Lekceważony przez długie lata ziemniak zwyciężył na całej linii...

Jak powstał pierwszy Czech i jak się zaraz popisał?

(Z podań ludowych).

Przed kilku laty jeszcze przed wojną, słyszałem podczas noclegu na odpuście w Kalwaryi taką gadkę o pierwszym Czechu na świecie:

„Onego czasu szedł Pan Jezus z uczniami koło lasu. W tem Judasz zaczął nagabywać P. Jezusa, aby stworzył człowieka.

— No — Mistrzu! Pokaż tę sztukę, żeś jest Synem Boga Ojca, który stworzył Adama, stwórz i Ty jakiego człowieka — powiada Judasz.

Na to Pan Jezus:

— Z czegóż go stworzę? Ja tu nie mam gliny pod ręką.

Ale Judasz nie daje spokoju i nudzi:

— Oto, z tego pniaka przy drodze stwórz człowieka.

Więc P. Jezus położył rękę na pniaku — i w tej chwili z pniaka zrobił się człowiek. Ale ten człowiek był nagi, więc wziął P. Jezusowi płaszcz, a św. Piotrowi kapelusz i rzecze:

„Z Panem Bohem, panowie!" — i poszedł.

Tak powstał pierwszy Czech i tak się zaraz popisał".

* * *

Jakkolwiek powyższa legenda zakrakawa na kpinę z Czecha, ma jednak psychologiczne podłoże. Niema więc co dziwić się, że zdradziecki napad Czechów na Śląsk i Orawę ze Spiżem prześcignął nawet chytrość Judaszowskiego czynu, bo także i w rabunkach okazali się Czesi lepszymi jeszcze od Moskali i Prusaków mistrzami.

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

9 (Ciąg dalszy).

Jasno zdawałem sobie sprawę, że nad generałem i jego domem ciąży jakieś przekleństwo i że spaść musi na tych, którzy je na siebie ściągnęli, nie zaś na przykładnego prezbiterjanina, który zawsze szedł ciernistą drogą cnoty.

To straszliwe dzwonienie wciąż rozlegało mi się w uszach; bałem się sam zostać w korytarzu, czując, że oszaleję, jeśli usłyszę je raz jeszcze. Szukałem tylko sposobności, by módz opuścić służbę u generała.

Okazało się jednak, że nie potrzebowałem prosić o uwolnienie mnie. Sam generał wymówił mi miejsce. Stało się to w końcu września. Powracałem ze stajni, gdy nagle zobaczyłem jakiegoś draba, który skakał na jednej nodze po wielkiej alei i podobniejszy był do olbrzymiej wrony, niż do człowieka.

Pomyślałem wówczas, że to jeden z tych łotrów, o których mówił generał; schwyciłem więc za kij, chcą rzucić się na niego, on jednak zrozumiał widocznie, co chcę uczynić, wyciągnął bowiem niezmiernie długi nóż i straszliwie przeklinając, ryknął, że zabije mię, jeżeli nie zejdę mu z drogi.

Nadszedł na to generał.

— Schowajcie nóż, kapralu, — krzyknął, — oszaleliście chyba ze strachu! A zwracając się do mnie dodał:

— Od jutra nie będziecie mi już potrzebni Izraelu. Służyliście mi wiernie, jestem z was zadowolony, okoliczności jednak tak się złożyły, że zmuszony jestem poczynić pewne zmiany.

— Dobrze, sir, — odpowiedziałem.

— Możecie odejść dzisiaj wieczór, ja zaś wynagrodzę was sowicie za to, że tak nagle was oddalam, — rzekł generał i skierował się ku domowi.

Powiedziałem już wszystko i do zeznania swego nic nie dodam, ani też nie ujmę zeń ani jednego słowa.

Pieniądze przysłano mi w kopercie. Powiedziawszy służącym kilka słów o ogniu piekielnym na pożegnanie, opuściłem Cloomber i otrząsnąłem pył ze stóp moich.

IX.

Opowiadanie Johna Esterlinga.

Jakkolwiek doktór John Esterling raz tylko odwiedził rodzinę Levis'ów, wizycie jego wszakże towarzyszyły okoliczności tego rodzaju, iż uważam za konieczne opowiadanie jego podać do publicznej wiadomości.

Doktór Esterling, mimo swej olbrzymiej praktyki w Stranrow, znalazł chwilę czasu, by spisać swe wspomnienia.

Przytaczam je dosłownie.

„W początku września roku zeszłego otrzymałem z Cloomber list od lady Levis; prosiła mię, abym odwiedził jej męża, którego zdrowie, według jej słów, przejmowało ją obawą.

Ani chwili nie zwlekając, udałem się do Cloomber-Hall.

Naprzód zobaczyłem panią domu, która wywarła na mnie przygnębiające wrażenie. Blada jej twarz, siwe włosy, smutne oczy i pełne znękania ruchy, wszystko to mówiło o głębokiem cierpieniu.

— Jestem głęboko wstrząśnięta, — rzekła spokojnym głosem dobrze wychowanej kobiety, — stanem mego męża. Miał on wiele przykrości, jego system nerwowy oddawna już pozostawia wiele do życzenia. Osiedliliśmy się w tej okolicy w nadziei, że świeże powietrze i zupełny wypoczynek przyniosą mu ulgę. Tymczasem, zamiast się poprawić, stan jego zdrowia jeszcze się pogorszył, wczoraj zaś dostał silnej gorączki. Przestraszyliśmy się bardzo i postanowiliśmy prosić pana, abyś go zbadał. Proszę, pójdźmy do sypialni generała.

Szedłem za nią krętymi korytarzami do pokoju chorego, położonego w najbardziej oddalonej części wielkiego budynku.

Sypialnia generała nie odznaczała się zbytkiem; nie było w niej nawet dywanu. Stało tu tylko niewielkie, składane łóżko, krzesło i zwyczajny stół, na którym leżało mnóstwo papierów i książek. Po środku stołu znajdowała się jakaś rzecz, przykryta płótnem.

Na ścianach wisiało mnóstwo broni, po większej części zdradzającej wschodnie pochodzenie. Na rękojeściach wielu szabel błyszczały drogocenne kamienie, co stanowiło dziwny kontrast ze skromnem urządzeniem całego pokoju.

Gdyśmy weszli do sypialni, generał ciężko oddychał i prawdopodobnie nie zauważył nas. Blask jego nieruchomych oczu i ciemny rumieniec na twarzy zdradzał silną gorączkę.

Podszedłem do łóżka, nachyliłem się nad chorym, i wziąłem go za rękę. W tej chwili generał porwał się z posłania i gniewnie odepchnął mnie od siebie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć na twarzy ludzkiej takiego strachu i przerażenia.

— Krwiożerczy psie, — zajęczał, — puść mnie, puszczaj! Kiedyż to się skończy? Jakże długo mam jeszcze cierpieć?

— Uspokój się, — rzekła mistress Levis, kładąc dłoń na jego rozpalonem czole. — To doktór Esterling ze Stanrow. Przyjechał tu, ażeby przynieść ci ulgę.

Generał upadł ciężko na poduszki, po zmienionym jego wyglądzie zaś poznałem, że odzyskał przytomność i zrozumiał, co mówiła żona.

Wówczas przystąpiłem do badania. Puls był przyśpieszony i nerwowy, gorączka niezmiernie wysoka. Generał miał febrę, jak wielu europejczyków, którzy długie lata przebywali w gorącym klimacie Indyii.

— Niebezpieczeństwa na razie niema, — powiedziałem. — Trochę arszeniku i chininy wkrótce przywróci zdrowie pacyentowi.

— Niema niebezpieczeństwa? — zawołał generał. — No, naturalnie, dla mnie nie istnieją niebezpieczne choroby. Mnie tak samo trudno zabić, jak Żyda wiecznego tułacza. Mary, zostaw nas samych z doktorem.

— Zwróć pan uwagę na wątrobę,— rzekł, gdy zamknęły się drzwi za mistress Levis. — Przed laty cierpiałem na nią okropnie.

— Teraz, — zauważyłem, zbadawszy chorego, — niema nawet śladu choroby, ani też obawy, by wątroba mogła szkodliwie wpływać na pańskie zdrowie.

Generał nie był wcale zadowolony z mej dyagnozy.

— Tak, zawsze bywa ze mną, — rzekł z goryczą. — Z najcięższej choroby, z największego niebezpieczeństwa wychodzę cały i nic nie może skrócić mego życia. Nie obawiam się śmierci, ale oczekiwanie jakiegoś nadnaturalnego, niemożebnego do pojęcia, strasznego ciosu, może pozbawić wszelkiej odwagi.

— Chce pan powiedzieć, — że przekładasz pan śmierć naturalną nad gwałtowną?

— Nie, nie o to chodzi. Zbyt jestem przyzwyczajony do chłodu stali i świstu kul, aby się ich obawiać. Czy słyszałeś pan kiedy o okkultyzmie?

— Nie, nigdy.

— Tak, wy, uczeni europejscy, jesteście bardzo mądrzy w kwestyach, dotyczących ciała ludzkiego, ale co do tajemniczych sił przyrody, ukrytej potęgi ducha ludzkiego i jej przejawów, jesteście zupełnymi ignorantami. Ciała nasze stały się poniżającem więzieniem dla duszy. Dusze mieszkańców Indyi nie są tak bardzo przykute do swej cielesnej powłoki. Hindusi wiedzą o przyrodzie więcej, niż wasi najwięksi myśliciele i mogą przyśpieszać lub opóźniać jej działanie tajemniczymi środkami, o których my nie mamy nawet najlżejszego pojęcia.

— Mówisz pan tak, jakbyś dobrze znał owe tajemnicze siły, będące na usługach indusów.

— Drogo za to zapłaciłem, — odparł generał. — Pan jednak powinien się zapoznać z okkultyzmem. Przeczytaj pan Reichenbacha „Badania nad magnetyzmem i siłą życiową“ i „Magnetyzm zwierzęcy“ Gregori'ego. Dzieła te wraz z dwudziestosiedmioma aforyzmami Mesmera i z utworami dra Kernera oraz Weisberga, rozszerzą znacznie pański horyzont myślowy.

Nie lubię, aby mi dawano rady co do mego fachu, wstałem więc, nic nie od-

powiadając i zabierałem się do wyjścia. Przedtem jednak zbadałem puls chorego i zauważyłem, że spadł i że gorączka ustąpiła. Potwierdziło to moją dyagnozę.

Gdy brałem ze stołu kapelusz, ściągnąłem przypadkowo również płótno, pokrywające dziwny przedmiot który leżał na stole.

Może nie zwróciłbym nań uwagi, gdyby nie to, że spojrzawszy w tej chwili na generała, spostrzegłem na jego twarzy wyraz największego niezadowolenia. Widząc, jednak, że uczyniłem to przez nieuwagę, uspokoił się i rzekł dobrodusznie:

— Niech pan zobaczy; jest to plastyczna mapka Himalajów. Ma ona dla mnie specyalne znaczenie: to are na mojej pierwszej kampanii.

— A to, — zapytałem, wskazując krwawo-czerwony punkt, — to zapewne miejsce jakiejś bitwy, w której brał pan udział?

— Tak, tutaj miała miejsce gorąca potyczka. Napadnięto na nas...

Nagle generał upadł na poduszki, a na twarzy jego odbiło się to samo straszne przerażenie, które zaobserwowałem na początku mojej wizyty. W tej chwili tuż nad jego głową rozległ się dźwięk, który można porównać jedynie z dźwiękiem dzwonka rowerowego; ani przedtem, ani też nigdy potem nie słyszałem nic podobnego.

Obejrzałem się dokoła, myśląc, skąd mógł pochodzić ten dziwny głos.

— Nic, nic, — przemówił generał. ze straszliwym uśmiechem, — to mój gong. Może panu wygodniej będzie na dole napisać recepty.

Widocznem było, że chce pozbyć się mnie jak najprędzej. Jakkolwiek więc miałem niezmierną ochotę dowiedzieć się, co wywołało ów tajemniczy dźwięk, natychmiast pożegnałem generała.

Wyjeżdżam z Cloomber z mocnym postanowieniem odwiedzenia raz jeszcze mego interesującego pacyenta; chciałem bądź co bądź poznać szczegóły jego przeszłości. Nie sądzonem mi wszakże było dopełnić swego zamiaru: tegoż wieczoru otrzymałem od generała list z sowitem wynagrodzeniem za moją jedyną wizytę. Mr. Levis pisał mi, że lekarstwa moje przyniosły mu wielką ulgę, że czuje się zupełnie zdrowym i że więcej trudzić mię nie będzie.

Był to pierwszy i ostatni list, jaki otrzymałem z Cloomber.

Nieraz sąsiedzi generała zapytywali mię, czy nie uważam generała za waryata. Na pytania takie odpowiadałem zawsze przecząco bez najmniejszego wahania.

Podczs mojej wizyty jednak skonstatowałem, że ogólny stan jego zdrowia pozostawia wiele do życzenia, a ponieważ ustrój nerwowy generała znajdował się w zupełnem rozprężeniu, sądziłem, że lada chwila należy spodziewać się kryzysu.

X.

List, nadesłany nam z Cloomber.

Od wielu już dni nie widziałem Gabryeli, ani Mordownta, wielką więc ulgę sprawił mi list, który otrzymałem od naszego młodego przyjaciela w sześć dni po rozmowie mojej z generałem.

— „Moi najdrożsi, — pisał on, — „Gabryeli i mnie niezmiernie jest przykro, że niepokoicie się pewnie, nie widząc nas i nie wiedząc, co się z nami dzieje. Z domu nie możemy wydalić się ani na chwilę z powodów, które są wam znane.

„Nasz biedny ojciec czuje się coraz gorzej i prosił nas, abyśmy mu przyrzekli, że do dn. 5-go października nie będziemy opuszczali naszej siedziby. Obiecał nam wzamian po tym terminie pozostawić zupełną wolność. Widocznie w tym roku ma on szczególnie ważne przyczyny do obawy.

„Stan jego jest okropny; drży ze strachu przy najmniejszym szeleście, noce spędza bezsennie.

„Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, to 6-go października oczekujcie nas w Brinksome.

„Przyjmijcie serdeczne pozdrowienie od szczerze przyjaznego i oddanego wam Mordownta".

List ten sprawił nam niezmierną przyjemność; czuliśmy jednak, że ciężko nam będzie przeżyć te kilka dni, które nas dzieliły od dnia 5 października.

Tymczasem zdarzyło się coś, co uwagę naszą zwróciło w inną zupełnie stronę.

XI.

Morze wyrzuca na brzeg statek „Belinda".

Trzeciego października była piękna pogoda; zrana tylko wiał lekki wietrzyk.

Po południu wyszliśmy z siostrą na wybrzeże i dotarliśmy do maleńkiej zatoki Kirck-Maden. Wiatru nie było już zupełnie, a powietrze stawało się duszne.

Usiedliśmy na brzegu, by odpocząć i zdaleka już dostrzegliśmy Jamminssona, który szedł ku nam, niosąc na plecach płaską, okrągłą sieć, używaną zazwyczaj do łowienia krewetek. Zrównawszy się z nami, przystanął i poprosił, abyśmy pozwolili mu przysłać do Brinksom trochę raków morskich.

— Przed burzą nałowię ich dużo, — rzekł.

— Czyżby zanosiło się na burzę? — zapytałem.

— Naturalnie, każdy to spostrzeże. Wszystkie łąki dokoła Cloomber zaroiły się morskiem ptactwem. Dzień taki niebezpieczny jest dla marynarzy.

— A czy w tej zatoce bywały rozbicia okrętów?

— O tak, sir! To właśnie najniebezpieczniejsze miejsce. W zatoce tej, podczas wojny hiszpańskiej zatonęły dwa najlepsze okręty króla Filippa z całą załogą. Wody te posiadają mnóstwo tajemnic.

— Ale patrz pan, — zawołał nagle Jammisson, — jakiś okręt widać na horyzoncie. Ręczę, że kapitan gorąco pragnąłby teraz być już w bezpiecznym porcie.

— Myślę, że się mylicie i burzy nie będzie.

Stary marynarz roześmiał się głośno i poszedł dalej. Po chwili i my zabraliśmy się do odwrotu.

Nad wieczorem spojrzałem na barometr; ciśnienie było bardzo nizkie. Nagle zerwał się wicher i powierzchnia morza lekko zafalowała.

O godzinie dziewiątej wiatr szalał już na dobre, przed północą zaś zamienił się w straszny orkan. Zerwała się burza, jakiej oddawna w tych okolicach nie pamiętano.

O północy udaliśmy się na spoczynek. Myśl, że przyjaciele nasi przechodzą teraz najcięższe chwile, wobec zbliżającego się dnia krytycznego, spędzała mi sen z powiek. Wkrótce jednak znużenie wzięło górę i zasnąłem kamiennym snem młodości.

Nagle poczułem, że ktoś trzęsie mną i rozpoznałem głos mego ojca.

— Wstawaj John, wstawaj, — krzyczał. — W zatoce tonie wielki okręt, giną ludzie. Wstawaj, mój chłopcze, zobaczymy, co można dla nich uczynić.

Zerwałem się z łóżka i w jednej chwili byłem ubrany.

W pięć minut później staliśmy już w zatoce. Towarzyszyło nam kilkunastu mieszkańców Brinksom'u.

W ciemnościach nocy rozróżnialiśmy zaledwie ciemne chmury i biały blask spienionych fal.

Dął przerażający wicher, zasypując nam oczy piaskiem, z trudnością wpatrywaliśmy się w ciemną otchłań.

Zdawało mi się, że słyszę głosy ludzkie, nabrzmiałe błaganiem i przerażeniem wśród burzy i wichru, jednak nie podobna było dosłyszeć wyrazów.

Nagle w ciemnościach zabłysło światło; reflektor sygnału morskiego zalał jasnem światłem całą zatoką.

Wówczas dojrzeliśmy wyraźnie okręt, powalony na bok na straszliwe rafy podwodne. Był to ten sam, który dostrzegliśmy na horyzoncie dzisiaj zrana. Na środkowym maszcie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych.

(C. d. n.)

HUMOR i SATYRA.

L. THOMA.

Z pamiętnika urwisza-gimnazyalisty.

Wujaszek Franio.

(Tłómaczyła M. J. M.).

Matka moja dostała list od wujaszka Frania, tego spensyonowanego majora. Powiedziała, że jest bardzo zadowolona, bo wujaszek obiecuje zrobić ze mnie porządnego człowieka, jeżeli matka zapłaci mu 100 koron na miesiąc.

Musiałem jechać do miasta, gdzie wujaszek mieszkał, co było bardzo smutne. Wujostwo mieszkali na trzeciem piętrze, naokoło były same wysokie domy i nie było żadnego ogrodu. Nie wolno mi się było z nikim bawić i wogóle nie było tam nikogo prócz wujaszka Frania i ciotki Anny, którzy się kręcili cały dzień i uważali, żeby się, broń Boże, coś nie stało! Wujaszek obchodził się ze mną bardzo surowo i mówił:

— Czekaj ty urwipołciu, już ja cię kiedy przyłapię na gorącym uczynku.

Z okna można było pluć na ulicę i to była moja jedyna rozrywka, ale poza tem było tam okropnie nudno.

Profesor matematyki mnie nie znosił i mówił, że ja przywiozłem ze sobą bardzo złą opinię. Ale to nie była prawda, i on mi dał złe świadectwo tylko dlatego, że ja wsypałem pani profesorowej musującego proszku do nocnego naczynia. Ale ja tylko raz to zrobiłem, więc profesor nie powinien być tak zawzięty. Wujaszek Franio znał go dobrze i odwiedzał go często.

Oni się umówili między sobą, żeby mnie gnębić. Po powrocie ze szkoły musiałem zaraz brać się do robienia lekcyi. Wuj przyglądał mi się wtedy bacznie i mówił:

— Pewnie znowu robisz jakieś głupstwa. Poczekaj urwiszu, już ja cię dostanę.

Pewnego razu miałem trudne zadanie matematyczne do zrobienia. Nie mogłem z niego wybrnąć, więc poprosiłem wujaszka, żeby mi pomógł, bo on obiecał mojej matce, że mi będzie pomagał w nauce. Ciotka także mówiła, że wujaszek jest bardzo mądry i że ja się od niego mogę dużo nauczyć.

Wujaszek przeczytał zadanie i powiedział:

— Znowu nic nie umiesz nicponiu! Przecież to jest bardzo łatwe.

Potem usiadł i zaczął rozwiązywać zadanie, ale to mu szło jakoś powoli. Rachował całe popołudnie, a kiedy odważyłem się zapytać, czy zadanie już gotowe, dostałem straszną burę.

Dopiero przed kolacyą wujaszek przyniósł mi rozwiązanie zadania i powiedział:

— Teraz możesz przepisać. To było zupełnie łatwe, ale ja miałem jeszcze coś innego do roboty, ty głupcze!

Przepisałem zadanie i oddałem profesorowi. W czwartek profesor przyniósł poprawione zeszyty, a ja myślałem, że dostanę celująco. Tymczasem znowu miałem niedostatecznie, cała stronica była przekreślona czerwonym ołówkiem, a profesor powiedział:

— Tylko osioł mógł nabazgrać takie głupstwa.

— To mój wuj — powiedziałem — to on zrobił zadanie, ja je tylko przepisałem!

Cała klasa się śmiała, a profesor poczerwieniał.

— Jesteś bezczelnym łgarzem — powiedział — ty skończysz w kryminale.

I zamknął mnie na dwie godziny do kozy za to, że powiedziałem prawdę. Wujaszek czekał na mnie pod szkołą, bo zawsze dostawałem lanie, kiedym siedział w kozie. Ale ja zaraz zacząłem krzyczeć, że to wujaszek winien, bo zadanie było źle zrobione i profesor powiedział, że tylko osioł mógł takie głupstwa napisać.

Wtedy to dopiero porządnie dostałem w skórę, a wuj poleciał do profesora.

Kolega opowiadał mi, że widział ich razem na ulicy. Wuj strasznie zapalczywie czegoś dowodził i machał rękami.

Nazajutrz profesor mnie wywołał i powiedział:

— Przejrzałem jeszcze raz twoje zadanie, ono jest zupełnie prawidłowo zrobione, ale według starej metody, która już nie istnieje. Tobie jednak wcale nie zaszkodziło, żeś siedział dwie godziny, bo po pierwsze ty zawsze na to zasługujesz, a powtóre zrobiłeś błędy w przepisywaniu.

Oni się tak umówili, bo jak tylko przyszedłem do domu, wuj zaraz powiedział:

— Mówiłem z twoim profesorem. Zadanie było dobrze zrobione, tylko ty nie uważałeś przepisując.

— Nieprawda. Ja dobrze przepisałem, tylko całe zadanie było dyabła warte.

Za kilka dni dostałem list od matki, w którym mi donosiła, że wujaszek jej pisał, że nie może pomagać mi w nauce, bo ja nie umiem przepisywać najzwyczajniejszych zadań i stawiam go przez to w kłopotliwem położeniu.

Ten wujaszek to jest naprawdę bezczelny.

* * *

Dowcipny.

Pewien gospodarz wiezie wielką furę zboża przez miasto. Naraz konie szarpnęły w bok, wskutek czego fura się przewróciła.

— Dla Boga! — wrzeszczy głośno chłopek, — mój synek mi się udusi, on jest pod snopami!

Na ten wrzask wszyscy biegną ludzie z pomocą, nawet oficerowie i żandarmi. Na gwałt rzucają zboże z powrotem na wóz, gdzie chłopek stoi i zaraz je układa, lecz gdy wsystkie snopki już na wozie leżały, przekonali się wszyscy ze zdumieniem, że synka nigdzie nie ma.

— Cóż to, a gdzie synek? — pytają wszyscy.

— W domu! — odpowiada figlarz chłopek i wesoło dalej jedzie.

*

Czego kto winien szukać w małżeństwie?

Zegarmistrz — godzin szczęśliwych.
Gracz — dobrej partyi.
Rzeźbiarz — pięknych kształtów.
Literat — odpowiednich tematów.
Marynarz — cichej przystani.

*

W sądzie bolszewickim.

— Iwan Mitrofanowicz Sinobrjuchom, czy wy socyałdemokrat?
— Nie.
— Nihilist?
— Nie.
— Burżuj?
— Nie.
— Socyałrewolucyonist?
— Nie.
— Komunist?
— Nie.
— Bolszewik?
— Nie.
— K'czortu! a kto wy?
— Głodny.

*

Złośliwy wynalazca.

Edison bywa czasem złośliwy, a widocznie w swoich pojęciach o stanowisku kobiety wielki wynalazca, wyprzedzający teraźniejszość, ma oblicze ku zamierzchłej przeszłości zwrócone.

Działo się to w czasach, gdy Edison ukończył pierwszą swoją maszynę mówiącą. Pewnego dnia odwiedził go dobry znajomy i zapytał: czy czego znowu nie „wyczarował?“

Edison zaprowadził go do nowej maszyny i jej zastosowanie objaśnił. Przyjaciel był olśniony.

— Właściwie nie ja jestem twórcą tego wynalazku — dodał Edison z uśmiechem. — Taka maszyna już została wynaleziona.

— Kiedy? Gdzie? — pytał przyjaciel.

— A no, w Edenie. — Z Adamowego żebra...

Do P. T. Kupców i Przemysłowców!

Młode nasze pismo rozbudziło w szerokich sferach społeczeństwa ogromne zainteresowanie i zyskało sobie wielką poczytność. — **„Życie i Powieść“** w tysiącach egzemplarzy idzie do miast, miasteczek i wsi. To też inserowanie w naszem piśmie przedstawia dla P. T. Kupców i Przemysłowców wielkie i niechybne korzyści. Należy pamiętać, że grosz na reklamę wydany sowicie się procentuje.

Wiersz jednoszpaltowy ogłoszenia w „Życiu i Powieści“ kosztuje 2 korony.

Wiersz w tekście redakcyjnym — 5 koron.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Życia i Powieści“ Kraków, Karmelicka 16, oraz wszystkie krajowe Biura dzienników i ogłoszeń.

Osoby powracające z Rosyi

upraszam o jakąkolwiek wiadomość o córce mej Annie Popoff i mężu jej Aleksandrze (synie Pawła) kapitanie w 30. Połtawskim pułku piechoty rosyjskiej, zamieszkałymi przed wojną w Warszawie. Aleksander w początku wojny z powodu otrzymanej rany pod Kaliszem przewieziony był do szpitala w Petersburgu, a następnie po wyleczeniu zamieszkał w r. 1915 w mieście Czycie na Syberyi. Wiadomość proszę nadesłać pod adresem: Szafruga, Sosnowiec, ulica Miła Nr. 6.

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. **Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.**

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.